NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 6 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 31 lipca 1909. Nr. 31.

Napad bandycki pod Krakowem.

(Treść na str. 2).



Napad bandycki pod Krakowem.

(Do illustracyi tytułowej).

Bandytyzm, przeszczepiony do nas z Królestwa, nie gaśnie. Coraz nowe wypadki rozbójniczych napadów i rabunków wskazują, że straszna ta choroba społeczna grasuje dalej i że mimo surowych kar, jakie na winnych spadają, nie brak nigdy amatorów cudzej własności.



Śmierć znanego zakonnika: Śp. O. Floryan Marczewski.

Ze nie są to zdrowe stosunki, zbyteczne dodawać. Należy też wszelkiemi siłami dążyć do wyplenienia bandytyzmu, a przedewszystkiem do usunięcia przyczyn, które go wywołują.

Ostatni wypadek rozbójniczego napadu bandyckiego zaszedł przed paru zaledwie dniami w najbliższej okolicy Krakowa. Oto nocną porą przejeżdżali przez las pod Chełmkiem obok Chrzanowa dwaj handlarze żydowscy, bracia Majer i Mojżesz Zehngebotowie. Nagle wyskoczyła z gąszczy zgraja rabusiów uzbrojonych i rzuciła się na przejeżdżających kupców. Pod grozą śmierci wydarli im całą gotówkę, jaką kupcy mieli przy sobie, w kwocie około 100 koron, a nadto pobili ich, mszcząc się zapewne z tego powodu, że więcej pieniędzy znaleść nie mogli.

Krzyk napadniętych zwabił na miejsce okolicznych włościan, którzy spłoszyli opryszków. Niestety ująć nie udało się na razie żadnego z nich. Dalsze poszukiwania prowadzi żandarmerya i może jej uda się wytropić winnych. Spotkałaby ich w takim razie surowa ale zasłużona kara.

Rycina nasza na stronie tytułowej przedstawia chwilę napadu.

Śmierć znanego zakonnika.

Pod Warszawą, na wzgórzu zwanem Bielanami, podobnie jak pod Krakowem, wznosi się klasztor i kościół OO. Kamedułów, ufundowany w XVII. w. przez króla Władysława IV. Zakon ten podzielił los wszystkich innych zakonów w Królestwie polskiem. Członków jego mianowicie skazano na wymarcie.

Ostatnim przeorem Kamedułów warszawskich był O. Floryan Marczewski, o którego śmierci doniosły w ubiegłym tygodniu dzienniki warszawskie. O. Marczewski, urodzony 1837 r. w Modlinie, pochodził z rodziny bardzo zamożnej, dzięki czemu otrzymał wysokie wykształcenie. Po ukończeniu studyów poświęcił się pracy na roli. Mieszkał w pobliżu Warszawy. Zaglądał też do niej często i znany był wówczas ogólnie w kołach złotej młodzieży warszawskiej.

Nagle znikł Marczewski ze wsi, w której mieszkał stale, nie było go też w Warszawie. Napróżno szukali go przyjaciele. Ani oni, ani rodzina, nikt wogóle nie wiedział, gdzie młody, wesoły, towarzyski człowiek się podział.

Dopiero w kilka lat później odszukano go w klasztorze OO. Kamedułów na Bielanach pod Warszawą, już w habicie zakonnika. Młody kameduła zasłynął tam wnet jako doskonały kaznodzieja i został po pewnym czasie powołany na godność przeora. Za jego urzędowania nastąpiło skasowanie klasztoru na Bielanach.

Ostatnie lata spędził O. Marczewski jak na wygnaniu, w przytułku św. Stanisława. Po długo trwałej chorobie wreszcie zasnął snem wiecznym.

Pogrzeb ostatniego przeora kamedułów odbył się w ubiegły piątek, z kościoła św. Augustyna, gdzie spoczywały zwłoki zmarłego. W oddaniu ostatniej posługi zasłużonemu i znanemu zakonnikowi wzięło udział nietylko bardzo liczne duchowieństwo, ale tysiące publiczności warszawskiej.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy prócz portretu śp. O. Marczewskiego, także zdjęcie kościoła OO. Kamedułów na Bielanach pod Warszawą.

Nowy gabinet francuski.

Dość gładko przeszła kryzys gabinetowa we Francyi. Clémenceau, prawdopodobnie znużony tak długiem pozostawaniem u steru rządu, wcale chętnie ustąpił, bo rola opozycyonisty przypadała mu więcej do smaku, niż rola realnego polityka. Spadek po nim objął Arystyd Briand, ex-socyalista, który, o ile się zdaje, będzie w dalszym ciągu prowadził politykę swego poprzednika, zasadzającą się na zręcznem lawirowaniu pomiędzy interesami licznych stronnictw parlamentarnych. Briand liczy lat 47, pochodzi z Nantes i jest z zawodu adwokatem. Od wczesnej młodości zajmował się dziennikarstwem, redagował *La Lanterne*, z Jaurésem pracował w *La Pétite République*, a następnie założył z nim dziennik *L'Humanité*. W roku 1906 był członkiem gabinetu Sarriena i wtedy został wykluczony z partyi socyalistycznej. W gabinecie Clémenceau piastował tekę sprawiedliwości, obecnie zaś objął — oprócz prezydentury — tekę wyznań i spraw wewnętrznych.



Nowy gabinet we Francyi: Delcassé, który przyczynił się najwięcej do upadku Clémenceau

Nowy gabinet nazwano żartobliwie „gabinetem dziennikarskim“, zasiada w nim bowiem czterech ministrów — oprócz premiera — którzy wyszli z szeregów dziennikarzy. Stefan Pichon, minister



Śmierć znanego zakonnika: Kościół i klasztor OO. Kamedułów na Bielanach pod Warszawą.

spraw zagranicznych, pracował czas dłuższy w wydawanej przez Clémenceau *Justice*, Jan Dupuy jest współwłaścicielem *Petit Parisien*, Viviani, minister opieki socyalnej, pracował w *Intransigeant*, zaś Gaston Doumergue, minister oświaty i sztuk pięknych, jest znanym publicystą.



Nowy gabinet we Francyi: Arystyd Briand, prezydent gabinetu.

Delcassé, który był jednym z tych parlamentarzystów, co najwięcej przyczynili się do obalenia poprzedniego gabinetu, nie został powołany do udziału w rządach. Dowodzi to, że sfery miarodajne we Francyi boją się tego zręcznego i energicznego polityka, który mógłby polityce francuskiej nadać ton ostrzejszy wobec Niemiec, Francyi zaś teraz chodzi o utrzymanie pokoju za wszelką cenę.

Przed wielką rocznicą.

Cała Polska gotuje się do godnego uczczenia pięćsetnej rocznicy grunwaldzkiej. Artyści malarze i rzeźbiarze tworzą już dzieła, mogące w ten lub inny sposób ją utrwalić w pamięci potomnych, historycy i literaci swemi pracami przypominają to zwycięstwo Słowian nad odwiecznym wrogiem, zaś „dar grunwaldzki“ będzie jego najtrwalszym pomnikiem.

Pomiędzy tymi artystami, którzy w tej akcyi narodowej biorą bardzo wybitny udział, jedno z przednich miejsc zajmuje Wojciech Kossak, który maluje — jak o tem już wspominaliśmy dawniej — szereg obrazów, przedstawiających stosunek nasz do „prusactwa“.

Dzięki uprzejmości artysty udało się nam zrobić zdjęcie w jego pracowni, gdy właśnie zabiera się do malowania jednego z obrazów tej seryi grunwaldzkiej. Na tle widać modele i prześliczny obraz, przedstawiający żandarma pruskiego, gdy przynosi



Nowy gabinet we Francyi: Stefan Pichon, minister spraw zagranicznych.

rozkaz wysiedlenia człowiekowi z rodziną, który pracował na roli, a więc wedle prawa i rozsądku nie powinien był być uważany za „uciążliwego cudzoziemca“.

Oprócz wymienionego obrazka zwraca jeszcze uwagę na naszem zdjęciu bardzo charakterystyczna fotografia, którą Kossak zachował sobie na pamiątkę z czasów, gdy bawił w Berlinie. Jest to mianowicie fotografia cesarza „mówcy i podróżnika“, gdy pozował dlań na kadłubie wypchanego konia.

Kossak odruchem patryotycznym po mowie w Malborgu umiał zerwać stosunki, jakie łączyły go z cesarzem Wilhelmem, a które przynosiły mu oprócz korzyści finansowych, także inne — natury towarzyskiej. Tego społeczeństwo polskie Wojciechowi Kossakowi nie zapomni.

Święto strażackie w Skierniewicach.

(Do illustracyi na str. 10).

Straż ogniowa ochotnicza w Skierniewicach w Królestwie Polskiem urządziła w ubiegłym tygodniu z powodu rocznicy swego założenia uroczysty popis swych członków. Uroczystość tę rozpoczęto przy udziale licznie zebranej publiczności, członków honorowych, ofiarodawców, oraz delegatów straży grodzieńskiej, solennem nabożeństwem w kościele parafialnym, następnie odbył się przegląd straży i ćwiczenia z przyrządami na miejscowym rynku.

Cwiczenia te, jak na skierniewicką, małomiasteczkową straż ochotniczą, wykonano świetnie; o godzinie 3 popołudniu cała kolumna straży z or-

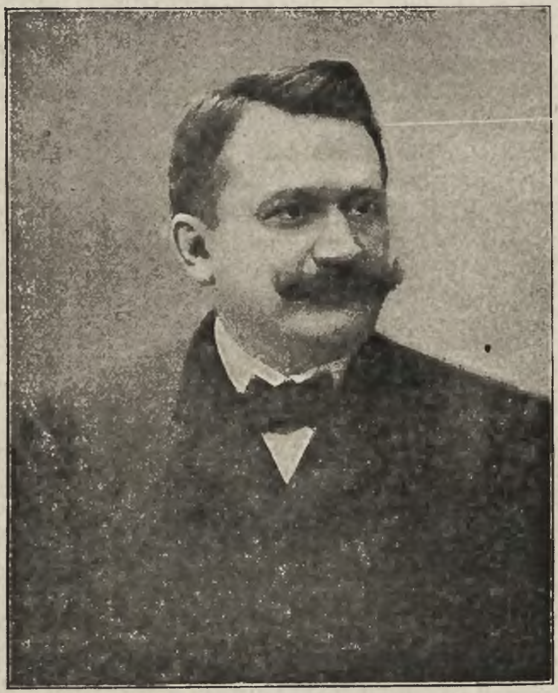


Nowy gabinet we Francyi: René Viviani, minister opieki socyalnej.



Przed wielką rocznicą: Wojciech Kossak w pracowni.

kiestrą na czele, wyruszyła do miejscowego lasu, oddalonego o trzy wiorsty od miasta, gdzie w specyalnie urządzonych namiotach bawiła się ochoczo do późnej nocy. Na pamiątkę tej uroczystości, wykonano zdjęcie sztabu skierniewickiej straży, wraz z delegatami okolicznej straży grodzieńskiej i niektórymi członkami ofiarodawcami, które w dzisiejszym numerze zamieszczamy.



Nowy gabinet we Francyi: Gaston Doumergue, minister oświaty i sztuk pięknych.



Katastrofa na wyścigach w Berlinie: Wybuch motoru na torze cyklistów.



Najpotężniejsza flota: Łodzie podwodne na Tamizie w Londynie. (Do artykułu na stronie 8).

Katastrofa na wyścigach w Berlinie.

Widownią wstrząsającej katastrofy był przed paru dniami stary ogród botaniczny w Berlinie. W ogrodzie tym znajduje się tor wyścigowy cyklistów i motorzystów, na którym odbywały się w niedzielę wyścigi.

Podczas biegu z prowadzeniem motorów, jeden z motorów upadł, wskutek czego pędzący za nim tandem motorowy, aby ominąć tę przeszkodę, skręcił gwałtownie w bok. Siła odśrodkowa jednak odrzuciła tandem znacznie dalej, aż do baryery. W tej chwili baryera pękła, a motor benzynowy eksplodował z wielkim hukiem, powodując wśród tłumów publiczności niesłychaną panikę.

Panika ta była zresztą zupełnie uzasadniona. Skutki bowiem wybuchu były straszliwe. Kilka osób, oblanych płonącą benzyną, wyglądało jak żywe pochodnie. Ludzie ci biegali jak szaleni po torze, wydając dzikie okrzyki boleści, inni, żarci płomieniami, tarzali się po ziemi. Równocześnie zajęły się drewniane trybuny, co ogólny przestrach jeszcze bardziej powiększyło.

Na szczęście zjawiła się po chwili straż pożarna i jej usiłowaniom udało się pożar ugasić. Zjawiło się też pogotowie ratunkowe, które zajęło się opatrzeniem poranionych osób. Mimo to ofiar strasznego wypadku jest bardzo wiele.

Zginęły mianowicie cztery osoby, kilka odniosło bardzo ciężkie rany, a przeszło dwadzieścia uległo poparzeniu i lżejszym uszkodzeniom.

Wedle zdania znawców wypadek spowodowany został wadliwą budową toru, a mianowicie zbyt ostremi jego krzywiznami.

Straszny ten wypadek, z którego zdjęcie przedstawia nasza rycina w dzisiejszym numerze, powinien być przestrogą dla zarządu lwowskiego toru cyklistów. Na torze tym odbywają się również bardzo często wyścigi motorów albo cyklistów z prowadzeniem motorów. Zabezpieczenie zaś toru jest tam stanowczo niedostateczne i w razie wypadku skutki mogłyby być jeszcze straszniejsze.

Spodziewać się też należy, że w najbliższym czasie urządzone zostaną dokoła toru lwowskiego mocne baryery, które zapewnią bezpieczeństwo tłumom publiczności, gromadzącym się stale dokoła toru podczas wyścigów.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

31 (Ciąg dalszy).

Początkowo szukał w zajęciach i pracy ucieczki przed spleenem, jaki nim owładnął po przyjeździe do Wenecji. Gdy strejk, jaki tam wybuchł, uspokoił się zwolna, coraz bardziej poczynał tęsknić za żoną, widząc, iż nie grozi jej tutaj żadne niebezpieczeństwo. Nie chciał jej jednak odrywać od przyjaciółki.

Jeżeli nie przyjeżdża, widoczne, że nie może. Postanowił czekać cierpliwie, choć wszystkiego mu było brak, nawet usługi dobrej Ludwiki. Ona zawsze wiedziała, co jej pan lubi. Było mu nieprzyjemnie i smutno samemu.

Pewnego wieczoru, spacerując po placu św. Marka, spotkał hr. Olorera, którego słowami powitania było zapytanie, kiedy zagrają znowu następną partję. Maurycy nie uległ pokusie, lecz zbudziła się ona w nim i rozpoczęła swoją destrukcyjną pracę, zagarnęła go pod swe panowanie. Walczył z nią długo, pokonywał, lecz tylko do czasu, gdy nowe nieszczęście nie złamało jego słabej woli. Codziennie przeglądał tablice giełdowe, śledząc wysokość swych akcji, aż nagle przeczytał, że motory Salentin spadają.

Przestraszył się tem. Chciał jechać zaraz do Paryża, nie prosząc wcale o urlop, lecz strejk znowu zaostrzył się i wskutek tego nie mógł opuścić swego stanowiska. Wysłał natychmiast dwie depesze do notarjusza i ajenta giełdowego, lecz zanim przyszła od nich odpowiedź, przeczytał hiobową dla siebie wieść: upadek fabryki Salentin, ucieczka dyrektora, bankructwo całego przedsiębiorstwa.

Sześćdziesiąt tysięcy franków, zaangażowane na wiarę pana Morailles, przepadły zupełnie. Nie pozostało mu nic; nie miał już żadnego kapitału, z wyjątkiem tylko dziesięciu tysięcy franków w jednym z banków weneckich. Inne sto tysięcy franków było złożone, ale na imię Joanny i Jacka, aby w razie nieszczęścia nie umarli z głodu. Powalony tym ciosem, czuł, jak zapada się w jakąś otchłań, z której za wszelką cenę chce się wydobyć! A może szczęście zwróci się do niego, może powetuje stracone pieniądze.

Tegoż wieczoru znalazł się z hr. Olorera przy zielonym stoliku. Nad ranem o trzeciej godzinie winien już był dwadzieścia tysięcy, o piątej godzinie odegrał się i wygrał ponadto jeszcze piętnaście tysięcy. A więc może wygrywać! Jest to początek fortuny, która zaczęła się do niego teraz uśmiechać. Otwierając szufladę biurka, by schować pieniądze, natrafił na ukrytą w głębi małą wazkę, z której dobywała się odurzająca woń. Było w niej opjum z Pendżabu. Od zapachu tego nozdrza Maurycego drgnęły, wzrok mu się ożywił. Przecież jedna fajka to nic złego! Odświeży tylko umysł, ulży ciału, rozwieje spleen, tę pustkę w duszy, uczucie samotności i nudy. Pokusa zaczęła coraz silniej działać. Odszukał szczelnie schowaną fajkę, bardzo piękną, prawdziwe dzieło sztuki. Z początku przypatrywał jej się, stojąc przy biurku, potem siadł na otomanę, przedtem jednak zamknąwszy drzwi. Zdjął marynarkę, kołnierzyk, położył się i wolno nałożył fajkę. Westchnął głęboko i po chwili puścił z ust smugę wonnego, ciężkiego dymu. Nieruchomy, z głową odrzuconą w tył, z przymkniętemi oczami, rozkoszował się trucizną. Po jednej fajce nastąpiła druga, trzecia... chciał je liczyć, lecz stracił władzę nad sobą. Czuł się szczęśliwym, bez sił do czynu, z jedynem tylko pragnieniem, by przedłużyć ten stan błogości.

Na drugi dzień poszedł do hrabiego Olorera i przegrał dwadzieścia tysięcy. Nie przeraziło go to, zapalił fajkę. Gra i opjum opanowały go zupełnie.

XXVIII.

MĘCZARNIE MATKI.

Od chwili przybycia swego do domu zdrowia w Auteuil, Aurora de Morailles żyła jakby zahypnotyzowana. Czy to złudzenie, czy jawa, pytała się siebie przestraszona. Gdzie się znajduje obecnie? Kto są ci ludzie, których koło siebie widuje? W pamięci swej i świadomości czuła jakąś przerwę. Miała wrażenie, iż doznawała jakiegoś ciężkiego bólu, iż gniotła ją straszna zmora, nie mogła jednak połączyć wspomnienia niejasnych przebytych chwil z teraźniejszością. Dopiero po kilku dniach prostracji duchowej, czarna zasłona, zakrywająca jej przeszłość, zaczęła się zwolna rozwiewać i przyszła do samopoznania, przypominając sobie zarazem ostatnie wypadki w zamku, żmiję, stłuczenie lustra, tajemniczy korytarz i szyderczą w nim postać markiza.

Tak, to wszystko przeżyła, pamięta już twarz, lecz dlaczego przewieziono ją do tego domu... Męcząc się z własnemi, bezładnemi jeszcze myślami, ujrzała się wieczorem w swym apartamencie w Roche Forte, razem z doktorem Saffroy, który zapewniał, iż Joanna oczekuje na nią w pałacu w Paryżu. Kłamał on. Przecież mówił poprzednio, iż Joanna wyjechała z mężem do Wenecyi, tak, żywo stoją jej teraz w pamięci słowa doktora. Więc kłamał, oszukał ją, zwiódł. Po tej strasznej jeździe nocą samochodem, zamiast do Paryża przybyła przed ten dom, w którym się znajduje, otoczona wrogiemi sobie twarzami. Lecz dlaczego to wszystko uczyniono, jakiem prawem rozporządzono jej osobą? Kto na to pozwolił? Kto? zamiast odpowiedzi w myślach jej stanął markiz. Któż inny, jak nie ten nędzny mąż, najgorszy jej wróg; teraz nie może już o tem wątpić!...

Jednocześnie z poczuciem swego strasznego położenia, wspomniała o Joannie i panu Seymour, którzy przecież jej nie pozostawią bez obrony. Przecież one nie uwierzą, że przybyła do tego więzienia dobrowolnie; jeżeli ją okłamywano i teraz to poznała, tak samo postąpiono zapewne z Joanną, która się jednak domyśli jej położenia.

Pani Bock, wchodząc siódmego dnia po uwięzieniu pani Morailles do jej pokoju, zdziwiła się spojrzeniem, jasnym wyrazem oczu swej chorej.

— Dzień dobry — rzekła *nurse* zimnym, ostrym głosem — jak pani spędziła noc?

— Dziękuję, dobrze... To pani nie opuszcza mnie ciągle od chwili wywiezienia mnie z Roche-Forte?

— Nie wiem, któż mógłby być inny...—odparła z szyderczą powagą pani Bock, jakby ją powyższe pytanie obrażało.

— Niech mi pani powie prawdę, widzi pani, że jestem zupełnie spokojną. Dlaczego wywieziono mnie z Roche-Forte?

— Ani nie mogę, ani nie chcę tego powiedzieć— odrzekła flegmatycznie. — Polecono mi tylko doglądanie pani, a niczem innem nie interesuję się.

— Ależ ja nie jestem chora — rzekła żywo pani Morailles. Sam ton moich słów o tem świadczy.

— Oh, ton nic tutaj nie stanowi — odpowiedziała cierpko *nurse*. Gdyby pani nie była chorą, nie znajdowałaby się tutaj. Radzę tylko ufać osobom, które zajmują się panią; doktorzy powrócą pani zdrowie.

Aurora zbladła, duma jej została obrażoną; podniecona lekceważącemi słowami *nurse* zawołała:

— Kto pani jest? jak pani śmie przemawiać do mnie w ten sposób? kto pani dał do tego prawo? Dlaczego mnie tu przywieziono?

— Nie ja pani będę o tem mówiła, powtarzam iż jestem tylko do pielęgnowania chorych.

— Nie chcę żadnego pielęgnowania, nie chcę pani usług, proszę stąd wyjść... — odezwała się w niej duma patrycyuszki.

— Oho, jak pani się unosi! Dowód, że jeszcze jest daleko do wyzdrowienia. Niech pani wie, że mnie nic nie obchodzi; otrzymałam rozkaz i ten muszę wypełnić.

— Jakie rozkazy? — oburzyła się Aurora.

— Te, które mi dał doktór Crux i Saffroy. Chcę tylko zwrócić uwagę, iż gdyby oni zastali panią w takim stanie, musieliby użyć pewnych środków.

— O jakich środkach pani wspomina? proszę mówić, rozkazuję.

— Rozkazów żadnych nie przyjmuję od pani. Znam się na złości i niewdzięczności chorych. Doktór Crux....

— Co takiego doktór Crux? jakie nowe kłamstwo zmyślił on lub jego towarzysz?

— Doktór Crux nic mi jeszcze nie powiedział, ale wiem, że mi powie: Pani Bock, proszę zaprowadzić chorą do zimnego pokoju...

— Co pani chce przez to powiedzieć — wyjąkała Aurora, drżąc cała.

— Tak nazywa się salę — rzekła pani, Bock zdecydowana, by użyć całego wpływu na przekonanie tej niebezpiecznej chorej, za jaką uważała Aurorę — w której panią zanurzą w lodowatej wodzie, nie pozostawiając możności poruszania się.

— Jakież to straszne! — szepnęła markiza.

— A potem natryski! Poskramiali tutaj i gorsze jeszcze...

— Zabijcie mnie lepiej! — jęknęła Aurora.

— Niech pani będzie rozsądną, to tylko mogę poradzić.

— Jeżeli chcą mnie uzdrowić, uważając, że potrzebuję spokoju, to niech mi pozwolą zobaczyć przyjaciół.

— To się na nic nie przyda. Kto jest tutaj, nie może przyjmować męczących i denerwujących wizyt. Spoczynek musi być absolutny.

— Ależ wy chcecie do rozpaczy mnie doprowadzić, co ja wam uczyniłam? Kto mnie tu zamknął? Kiedy mnie wypuścicie?

— Pani znowu zaczyna?... nie będę odpowiała na te pytania... Niech pani da już spokój. Ale oto już Yvon niesie śniadanie, niech pani usiądzie i zapanuje nad sobą.

Pani Morailles spojrzała ze wstrętem na infirmiera, na jego blado-białą twarz.

— To zbyteczne. Proszę zabrać tacę.

Yvon jakby nic nie słyszał, postawił na stoliku tacę z czekoladą i wyszedł.

— Dobrego apetytu! — rzekła pani Bock, wychodząc.

— Proszę to zabrać!

Pani Bock zwróciła się do niej i patrząc jej prosto w oczy, rzekła:

— Proszę być posłuszną, gdyż inaczej zmuszę panią do tego. Niech pani mi wierzy, że najlepiej będzie, gdy pani zje.

— Proszę mnie opuścić — zawołała ze łzami w oczach Aurora. — Proszę wyjść!

Pani Bock wyszła, wzruszając lekko ramionami. O, już ona tę markizę poskromi. Tutaj niema żadnej arystokracyi. Słuchać, a nie rozkazywać! Nauczę ją tego!

W południe *nurse* zastała markizę siedzącą w fotelu, pogrążoną w swych myślach.

— Oto drugie śniadanie dla pani.

I jak raro, Yvon wniósł na tacy: jaja na miękko, pół pieczonego kurczęcia z zieloną fasolką i w karafce czerwone wino.

— Nie będę jadła! — odpowiedziała stanowczo pani Morailles.

— Nie, pani musi być głodna i pani musi jeść.

— Pani mnie nie zna, gdy powiem nie, to nie!

— W takim razie muszę uprzedzić doktora.

Na groźbę tę Aurora wstrząsła się, pohamowała się jednak zaraz i odpowiedziała obojętnie:

— Niech pani woła kogo chce... Jeżeli życie moje ma być takie, nie wiele ono warte.

W dziesięć minut potem zapukano dyskretnie dwa razy do drzwi i na progu ukazał się doktór Crux.

— Moje uszanowanie pani. Czy to prawda, że pani nie ma apetytu?

— Mógł się pan nie trudzić. Powiedziałam pani Bock, że nie będę przyjmowała pożywienia.

— Przepraszam, przepraszam... — mówił z lekkim uśmiechem doktór, poprawiając na nosie złote okulary. — Zaraz zobaczymy... Czy menu nie podoba się? a może kucharz zaniedbał się dzisiaj.

I Crux zajrzał do naczyń.

— Może droga pani nie lubi kurczęcia?... Chorzy mają nieraz kaprysy, które my zupełnie rozumiemy. Pani Rock! — *Nurse*, która stała widocznie za drzwiami, ukazała się natychmiast. — Proszę zawołać Yvona, by zabrał te potrawy. One jednak dobrze wyglądają. Niech przyniesie inne. A co pani powie o rybce i filetach wołowych z grzybkami, przeznaczonych dla mnie na śniadanie?

— Proszę przerwać tę śmieszną komedję — rzekła Aurora. Chcę porozmawiać tylko z panem.

Crux dał znak pani Rock, by wyszła i siadając niedbale, odezwał się:

— Na ten raz zgadzam się na tę pani fantazję, chociaż to jest złym przykładem i wbrew regulaminowi. Pani woli suszyć, dobrze! To ma także dobre strony, ale wieczorem pani zje obiad... a jak się pani dzisiaj czuje?

— Czuję się zupełnie dobrze i chcę odzyskać swobodę.

— Oh, oh! zawołał Crux, już nas opuścić?... Pani mówi zupełnie tak, jak i inni moi pacjenci... mają tylko jedną myśl... Uważają się za zdrowych i chcą odjeżdżać. Jak pani może przypuścić, że ja się zgodzę na to nagłe życzenie; nie, lepiej nie mówmy o tem. Pani przekona się z czasem, że u nas jest bardzo dobrze.

— Może pan tego nie spodziewać się po mnie. Pan chyba nie ma zamiaru więzić mnie siłą?

— Któż wspomina tu o sile... Czyż nie obchodzimy się łagodnie, choć nie mówię, czy w razie potrzeby dla dobra cennego pani zdrowia, nie musielibyśmy jąć się środków trochę energiczniejszych. Pewny jednak jestem, że pani nas od tego uwolni.

— Czyż pan chce mnie prześladować, jak i mąż?

— Oh, i pani znowu powraca do swojej manji: prześladować! Ależ pani to się tylko wydaje, nikt nie prześladuje.

— Oh, już ja wiem...

— Dopóki pani będzie wierzyła w te bezmyślne bajki, ten tajemny korytarz...

— Ależ ja go widziałam, zawołała z przekonaniem pani Morailles.

— La! la! la!... Niech pani się uspokoi!... Ciągle ta manja!... Trzeba się tego pozbyć! Dopóki pani nie przekona się, że była ofiarą tylko halucynacyi, nie mogę mówić nawet o uwolnieniu pani.

— Dobrze, a czy może pan wysłać moje listy, które chcę napisać?... Służba nie chciała spełnić tego żądania.

— Zupełnie słusznie. Rozkazy moje są tu ściśle spełniane. Niestety, nie mogę zgodzic się na list.

— W takim razie ja jestem pana więźniem, nie mam żadnego ratunku?... Jestem związana, skrępowana, zamurowana!

— Egzaltacja!... Spokoju, spokoju tylko! Nie myślmy o tem. Ja pani co innego poradzę. Dzień jest zimny, ale ładny. Niech pani okryje się futrem, wyjdziemy razem do parku przejść się. To dobrze wpłynie.

— Nie — odrzekła pani Morailles, ostatnim wysiłkiem woli zapanowując nad sobą — ponieważ jestem w więzieniu, pozostanę w niem; może pan odejść.

Crux podniósł się i jednakowo flegmatycznie odparł:

— Przyjdę wieczorem przekonać się, jak pani smakował obiad.

Podczas gdy pani Morailles pozostała bezwładna w swym fotelu, doktór Crux wrócił zadowolony do swego pokoju i zasiadł do śniadania, myśląc o swej pacjentce:

— Jeżeli ona niema apetytu, to mnie to nie będzie przeszkadzało przy śniadaniu. I tak byłem dobry, że ofiarowałem jej część swego menu.

Pod koniec śniadania negr Jocko podał mu na srebrnej tacy bilet wizytowy, na którym przeczytał!

— Sir Alvin Plumpish, New-York.

Zwracając się do Negra zapytał:

— Jaki rodzaj?

Negr, okazując z uśmiechem wielkie białe zęby, odpowiedział:

— Mały, młody człowiek, dobrze zachowany.

— Bogaty, biedny?

— Przysłowie mówi: nie sądź z powierzchowności, ten pan dobrze ubrany, w futro, cylinder, jak prawdziwy gentleman.

— Niech poczeka.

Crux z zasady kazał zawsze czekać. Świadczyło to, że dyrektor jest zajęty.

W pięć minut potem negr ukazał się znowu:

— Ten mały, młody pan mówi, że jest wolny obywatel amerykański, nieprzyzwyczajony do przedpokoju.

— Dobrze, niech poczeka jeszcze.

Jocko, który dostał od niecierpliwego gościa dziesięć franków, odważył się znowu wejść.

— Zdaje mi się, że ten gentleman nie jest zadowolony i jeszcze, że ten gentleman jest bardzo bogaty. Jego samochód czeka w ogrodzie, prawdziwy królewski samochód.

— A, to co innego wprowadź go!

W chwilę potem wpadł do pokoju jak huragan mały mężczyzna, w którym nawet najlepiej znający go, nie mogliby rozpoznać Archebalda Cockleya, tak jego siwawe włosy stały się jasno blond, twarz odmłodziła się, iż wyglądał na dwadzieścia pięć lat. Ubrany według ostatniej amerykańskiej mody w kratkowany kostyum, wysoki kołnierz i czerwony krawat, z lekceważącym uśmiechem na twarzy, był najzupełniej zmieniony.

Przyrzekł pani Seymour swoją pomoc i teraz zamienia ją w czyn.

Zawołał żywo:

— Mówi pan po amerykańsku?

— Nie — przyznał się Crux.

Mniemany Plumpish odparł wzgardliwie:

— Tak, tak, wy Francuzi.... Zresztą to mi wszystko jedno, sam mówię sześcioma językami, nie licząc swojego i esperanto. Pan mnie zapewne już zna?

— Nie miałem tego zaszczytu...

— No to musi pan znać mego ojca, Plumpish z Nowego Jorku, sławnego wynalazcę metody Plumpish.

— Ja.... — szepnął ośmielony Crux.

— *Well!* Musi go pan znać!... Byłem tego pewny. Kto go może nie znać?.... Mój ojciec, panie, jest to geniusz, prawdziwy Amerykanin; sława jego jest powszechną, uniwersalną, wszechświatową, tak jak i pańska!

— Oh! rzekł Crux zmieszany...

— Tak, tak, jak i pańska... Czy pan wie, jaka różnica jest między Francuzem a Amerykaninem?...

— Ja... tak... nie zupełnie... jąkał Crux, oszołomiony wytytą tego oryginała.

— Francuz jest skromny przez dumę, Amerykanin jest dumny przez skromność. Gdy uważa się za dobrego, takim się głosi, bo jest szczery.

Crux uśmiechnął się z przymusem; co Plumpish chce przez to powiedzieć.

— Mój ojciec pana wprost uwielbia.

— Mnie?

— Bardzo. Zna pański zakład, czytał pańskie dzieła i chciał koniecznie poznać sposób pańskiego leczenia, gdyż sam zapisuje się także...

Plumpish puknął się palcem w czoło, wskazując przez to, iż mówi o tych, którzy rozum mają w nieporządku.

— Ja także jestem lekarz, sławny w Montreal,



Ja sam, Saro Jarwis. Pani przybrała nową postać.

bardzo!... ale mój ojciec jest sławny w całej Ameryce. On leczył króla wołowego i króla stalowego; honorarjum: sto tysięcy dolarów za każdego. U nas to tak!

Jego dom zdrowia na wsi liczy dwunastu głównych doktorów, pięćset chorych; przywozi ich specyalny pociąg. Bardzo po amerykańsku. U nas w Ameryce to wszystko na wielką skalę.

— Oh! to bardzo interesujące, rzekł Crux. Czy mógłbym zapytać się...

— O szczegóły? Proszę bardzo, *dear sir.* Przywiozłem ze sobą broszury i pros... Jak to się mówi po francusku? prospektus domu Neathlands, mego ojca i w Montreal, mego własnego. Niech je dostaną z samochodu.

W pięć minut potem negr przyniósł cały stos broszur papierowych, które Cockley kazał wydrukować w tym jedynie celu, by oszołomić tego, kogo chciał zwieść.

— Mój ojciec, pan to zobaczy, czytając jego metodę, sławną metodę Plumpish...

— Hm, istotnie. Już często słyszałem... Metoda Plumpish... Określmy ją jednem słowem...

— Gimnastyka, panie... sporty... Nasi chorzy grają jedni przez trzy godziny dziennie foot-ball, drudzy pięć godzin footing, inni znowu na kółkach, trapezie; godzina boksowania. Czynność fizyzna pobudzona; wyśmienite rezultaty. Wpływ energii muskułów na centra serwowe.

— Tak, tak, niezwykłe, przyznał Crux.

— Tak, metoda amerykańska; energja przedewszystkiem. Mój ojciec bardzo ciekawy pańskiej metody; zaintrygowany pańską teorją zimnych kąpieii i natrysków. Powiedział mi:

— Alwin, jedź do sławnego doktora Cruxa...

— Oh! odparł doktór rozpromieniony.

— Powiedz mu, Alwin: jego sławny kolega z Nowego Jorku składa mu pozdrowienia i zaprasza na Neathlands.

Crux skłonił się radosny:

— Mocno jestem obowiązany.

Poprosisz go, by pozwolił ci zwiedzić swój dom, badać chorych, sprawdzić rozporządzenia... Wreszcie, Alwin, poprosisz go, by pozwolił na ogłoszenie notatki o jego własnym domu w Auteuil. Notatkę tę my rozrzucimy po całej Ameryce, we wszystkich dziennikach amerykańskich ogłosimy, by oddać doktorowi Crux, to, co mu się należy.

— Ach, uprzejmość pańska przejmuje mnie. Instytut neurologiczny jest dla pana otwarty. Przedstawię panu mego pomocnika, doktora Saffroy. Jestem szczęśliwy, że mogę ułatwić panu jego zadanie. Czy chce pan zacząć od obejrzenia mego zakładu? Podam panu stan mych chorych i sposób ich leczenia.

— Z przyjemnością, ale poproszę o pozwolenie przychodzenia codziennie i oglądanie wszystkiego dowolnie. Pan mnie poda za chorego. Chcę z chorymi jadać, spacerować, grać w football...

— Oh, my nie używamy takich energicznych środków.

— Doprawdy? Zadziwia mnie pan, a jednak doskonały system! System Plumpish!... Poznać naprzód z bliska chorych, pańskich psychopatów, nerwowców.

— Bardzo proszę. Pan będzie uważany za pacyenta, dotkniętego tylko lekką wadą.... I wszystko będzie pan miał przed sobą otwarte. Poproszę tylko o wracanie, jeżeli zechce pan przepędzi tutaj noc, jako mój gość, przed dziewiątą i o nie pozostawanie po tej godzinie w parku, gdyż wtedy spuszczają z łańcucha dzikie buldogi.

— Oh, tak!... — rzekł Plumpish, który wydał się tem zainteresowany. Dawniej było to u nas we zwyczaju na południu; wytresowane psy na łapanie niewolników. Dzikie zwierzęta. Odgryzały rękę lub nogę. Ale pan mówi, jako „pański gość?“

— Dlaczegóż nie?

— Istotnie, doskonale! Lepiej niż w hotelu. Dobre powietrze, bliskość lasu.... A jaka cena drogi panie?

— Mamy jeszcze czas do pomówienia o tem—rzekł uprzejmie Crux— a lepiej nie wspominajmy o tem.

— Nie, kładę na to nacisk...

— Ależ to drobnostka....

— Francuzi są mili, bardzo, istotnie; doskonale mili.

Zapukano do drzwi. Weszła pani Bock, lecz widząc doktora zajętego, chciała się cofnąć.

— Proszę, pani Bock... Pani Bock, doktór Plumpish z Montrealu; doktorze, moja najlepsza *nurse*, która będzie mogła udzielić panu najdokładniejszych wskazówek.

Nagle wpadł Jocko, wołając głośno:

— Proszę pana, ta stara dama, która mówi, że jest ze szkła, krzyczy teraz, że spadła ze schodów i potłukła się na drobne kawałki.

Crux podniósł ręce do góry:

— Ani chwili spokoju! Idę tam... Pan mi wybaczy... Za chwilę będę do usług pańskich. Pani Bock, proszę ze mną.

I wyszedł szybko z pokoju.

Pani Bock chciała iść za nim, gdy Cockley, który od samego początku przypatrywał jej się bacznie — czyżby?... Nie!... Niemożliwe... Czyżby tak mu miał dopomódz zbieg okoliczności?... — Cockley stanął przed drzwiami.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Walki w Marokko: Mulej-Hafid odbywa przegląd wojska.

Walki w Marokko.

W chwilach, gdy się zdaje, że świat cały korzysta ze spokojnych letnich feryj, gdy mężowie, kierujący nawami politycznemi większych i mniejszych państw europejskich, już poczęści rozpoczęli doroczny odpoczynek, wyłaniają się naraz tak poważne sprawy, jak upadek gabinetu we Francyi i jak nanowo poruszona kwestya marokkańska.

W ubiegłym tygodniu przyniosła prasa codzienna wiadomości o krwawych walkach, stoczonych przez załogę jednego z hiszpańskich *presidios* — Melilli — z tubylcami Berberami, którzy zamieszkują północną, nadmorską prowincyę Marokka, zwaną er Rif. Początkowo nie zwracano na ten „incydent“ uwagi, ciągle bowiem w tamtych stronach zdarzały się i zdarzają starcia między załogami hiszpańskiemi a Berberami. Jednakowoż sprawa przybrała groźniejszy obrót tym razem. Pokazało się że Hiszpanie, któ-



Pionier oświaty ludu polskiego w Ameryce: Michał Kruszka.

rzy obecnie bardzo silnie kolonizują pobliskie swej ojczyźnie wybrzeża północnej Afryki, postanowili wyeksploatować kopalnie, położone niedaleko Melilli i już rozpoczęli budować kolej, dla połączenia tych kopalni z miastem wyżej wymienionem. To niepodobało się tuziemcom i z bronią w ręku sprzeciwili się nowym postępom gospodarki „niewiernych“ w ich ojczyźnie. Hiszpania zaś, może podmówiona przez Anglię i Francyę, wzięła sobie tak dalece do serca opór Berberów, że już zamierza za pomocą dwóch korpusów armii dać początek do rozdziału „państwa najdalszego zachodu“. Charakterystycznym jest przytem faktem, że właśnie w dniach ostatnich bawiło w Madrycie poselstwo Mulej-Hafida, sułtana marokkańskiego.

Opinia publiczna w Hiszpanii zajęła bardzo podzielone stanowisko wobec zamierzonej do Marokka wyprawy. Przyszło nawet do tego, że rezerwiści, powołani pod broń w niektórych wypadkach odmówili posłuszeństwa, co rzuca interesujące światło na organizacyę dzisiejszą armii hiszpańskiej, która była onego czasu pierwszą armią na kuli ziemskiej.

Jedna z rycin naszych przedstawia mury Melilli, na których zawieszono głowy Berberów, oskarżonych o zdradę, druga zaś sułtana Mulej Hafida, gdy czyni przegląd swych wojsk w okolicach miasta Fezu.

Pionier oświaty ludu polskiego w Ameryce.

Wielkopolska, która w ostatnich latach największe znosi prześladowania, wydaje najsilniejsze charaktery, najtęższych działaczy społecznych.

Michał Kruszka, założyciel i wydawca pierwszego dziennika polskiego w Stanach Zjednoczonych, były senator stanowy i niestrudzony pracownik na niwie politycznej i społecznej, jest właśnie takim typem Wielkopolanina, który łączy wytrwałość, powagę, rozsądek i zmysł polityczny z kulturą amerykańską.

Gdy przed blisko 30 laty, bo w r. 1880, młody, zaledwie 20 letni młodzieniec wylądował w Nowym Yorku, przeszedł on twardą szkołę, pracując przez pierwsze lata w fabryce maszyn Singera we dnie, a wieczorami pilnie ucząc się języka angielskiego.



Walki w Marokko: Głowy straconych Marokkańczyków, zawieszone na murach Melilli.



Najpotężniejsza flota: Pancerniki angielskie podczas przeglądu przy ujściu Tamizy.

Marzeniem zaś jego od lat najmłodszych była działalność dziennikarska i choć w owym czasie pragnienia jego zdawały się niemożliwe do urzeczywistnienia, Kruszka z uporem i zaciętością wielkopolską postanowił postawić na swojem. I już w początkach 1885 r. zakłada malutką drukarnię i sam uczy się zecerstwa i drukarstwa. W pół roku później zaczął wydawać „Tygodnik Anonsowy“ a następnie „Krytykę“, wreszcie w czerwcu roku 1888 „Kuryera Polskiego“.

„Kuryer Polski“ wytworzył prąd krytyczny i zmusił przeciwników do liczenia się z sobą, gdyż wydawca jego nie zadowalał się tylko pracą redakcyjną, ale brał żywy udział w polityce Stanów Zjednoczonych. W r. 1890 Kruszka został obrany posłem do sejmu stanowego do Madison w stanie Wisconsin, następnie zaś został senatorem stanowym, będąc pierwszym Polakiem w Ameryce, który zdobył tak zaszczytne stanowisko.

Od tego czasu działalność „Pana Michała“, jak go popularnie nazywają, rozwija się z każdym rokiem na szerszą skalę, zawsze z pożytkiem dla naszego ludu.

Lista pism, na których czele stoi p. M. Kruszka, jako prezes, generalny zarządca i naczelny redaktor, opiewa: „Kuryer Polski“, Milwauke, „Dziennik Narodowy“, Chicago, dalej tygodniki: „Kuryer illustrowany“, „Kuryer Tygodniowy“ i „Gazeta Wisconsińska“, wreszcie miesięcznik „Prasa Polska“.

Z tego pobieżnego szkicu poznać można, że w tej czwartej dzielnicy są jednostki, które poza pracą na chleb codzienny, mają wyższe cele na oku i nie zważając na drogę ciernistą, postępują ciągle naprzód, szerząc oświatę i służąc Ojczyźnie.

Najpotężniejsza flota.

Anglia w ostatnich czasach popadła w pewnego rodzaju rozdrażnienie nerwowe ze względu na obawę możliwej inwazyi ze strony Niemiec. Prasa tamtejsza prześciga się w drażnieniu opinii publicznej, czego skutkiem bywają wprost komiczne epizody, jak n. p. z owym zagadkowym aeroplanem, który miał bezkarnie unosić się nad najbliższemi okolicami Londynu. Dalej zaś lord Roberts, były *generalissimus* armii angielskiej, swemi przemówieniami w Izbie lordów podniósł ogromnie nastrój wojowniczy całego kraju, tak że zaprowadzenie powszechnej służby wojskowej w Wielkiej Brytanii nie jest obecnie wykluczonem.

Pragnąc uspokoić opinię publiczną, rząd angielski, któremu przecież zależy na utrzymaniu pokoju, a równocześnie chcąc pokazać flotę swego kraju, przed kilku dniami zarządził pokojową demonstracyę floty w tych rozmiarach, jakie dotąd nigdzie nie miały miejsca. W przeglądzie tym floty przy



Wiec fryzyerów we Lwowie: Uczestnicy kursu fryzyerskiego i wiecu. 1. przewodniczący wiecu L. Czaczkes ze Lwowa, 2. wiceprezes L. Gerstring z Krakowa, 3. wiceprezes K. Janicki z Przemyśla, 4. M. Borycki, kierownik kursu, 5. Józef Juris z Wiednia, instruktor kursu.

ujściu Tamizy wzięło udział 149 statków wszelkiego rodzuju, z załogą 42.000 ludzi, a pomiędzy nimi pięć „dreadnoughtów“ najnowszego typu: „Bellerofon“, „Superb“, „Temeraire“, „Lord Nelson“ i „Agamemnon“. Do samego Londynu dotarły łodzie podwodne, a z niemi torpedowce i kontrtorpedowce. Przyjęcie, jakie urządzono ich załogom, było entuzyastyczne. Londyn cieszył się widokiem dzielnych „blue-jackets“ — marynarzy — w których upatruje słusznie najlepszą obronę swej ojczyzny.



Zamordowanie naczelnika policyi: Robert Blot, zastępca dyrektora policyi w Paryżu.

Ryciny nasze przedstawiają szereg wspaniałych statków, ubranych we flagi podczas przeglądu u ujścia Tamizy. Stosunek wielkości wyobrażonych na niej statków, daje pojęcie o kolosach wojennych, które są teraz ideałem każdego państwa posiadającego interesa na morzu.

Wiec fryzyerów we Lwowie.

Stowarzyszenie przemysłowe fryzyerów i perukarzy, pragnące dźwignąć swój zawód na wyżyny rękodzieła artystycznego, urządziło w roku ubiegłym dwumiesięczny, a w bieżącym sześciotygodniowy kurs robót perukarskich, czesania pań, manicure i masażu twarzy. Kurs ten był przeznaczony dla majstrów i czeladników.

Kurs tegoroczny zakończył się w połowie lipca publicznym popisem i wystawą robót perukarskich, wykonanych przez frekwentantów i członków stowarzyszenia. Nadto odbył się w tym czasie krajowy wiec fryzyerów, w którym wzięli udział delegaci z kilkunastu miast prowincyonalnych. Wiec uchwalił między innymi założenie krajowego związku, wydawanie gazety zawodowej, założenie krajowego biura pośrednictwa pracy, oraz zwołanie na r. 1910 wiecu ogólnego do Krakowa.

Rycina nasza przedstawia uczestników i nauczycieli kursu oraz uczestnikow wiecu fryzyerskiego.

Pożyteczna instytucya.

Kraków, aczkolwiek miasto wcale niezamożne, posiada jednak tego rodzaju instytucye o charakterze dobroczynnym, jakich mogłoby mu pozazdrościć każde inne, o wiele większe środowisko. Ofiarność mieszkańców wawelskiego grodu jest wielka, ale pomimo tego w pewnych kierunkach trzeba ją jeszcze pobudzać.

W tym wypadku mamy na myśli działalność sekcyi III. „Rady Opiekuńczej“, która to sekcya wprowadziła w życie „Szkółkę popołudniową dla dziewcząt“, począwszy od dnia 3-go maja b. r., mieszczącą się w „Szkole robót kobiecych“ przy ulicy Kolejowej l. 11. Zadaniem tej szkółki jest dziewczęta szkół ludowych i wydziałowych uczyć w dwóch oddziałach: szycia, łatania, cerowania, dziergania i znaczenia bielizny, oraz wyrabiania koronek klockowych i robót wiązanych. Naukę otrzymują uczenice bezpłatnie a najuboższe z pomiędzy nich również bezpłatnie i przybory do nauki w szkole. Nabywszy cokolwiek wprawy uczenice mogą wykonywać roboty na zamówienie i sprzedaż. Wtedy z zapłaty otrzymuje uczenica za robotę 80%, nauczycielka 10%, jako wynagrodzenie za swe trudy, a do funduszu obrotowego wpływa 10%.

Pierwotnie obliczono ilość uczenic tylko na pięćdziesiąt. Tymczasem jednak zgłosiło się ich sto trzydzieści, tak że sekcya III. znalazła się w prawdziwym kłopocie. Z jednej strony nie chciała tym biedaczkom odmawiać, z drugiej zaś — nie posiadając odpowiednich funduszów — musi ofiarnością swych członków pokrywać niedobór, wynikający z tej racyi. Tak dłużej być nie powinno, bo „Szkółka popołudniowa“, która nietylko daje zarobek tylu biednym dziewczętom, ale odciąga je od próżniactwa i związanych z niem następstw, absolutnie powinna być utrzymaną w obecnych warunkach.

Na załączonej rycinie podajemy widok oddziału koronkarskiego „Szkółki popołudniowej“, funkcyonującej nawet teraz — podczas wakacyi — także i przed południem. Znane z ofiarności społeczeństwo krakowskie pospieszy niezawodnie sekcyi III. z wydatną pomocą.

Śmierć pretendenta.

Do ostatnich chwil swego życia Don Carlos, pretendent do tronu hiszpańskiego, żył w mniemaniu, że kiedyś włoży na swe skronie koronę. Pomimo jednak, że dwukrotnie wszczynał bratobójczą walkę w swej ojczyźnie, los się doń nie uśmiechnął, umarł bowiem nagle ubiegłego tygodnia w Wenecyi, jako „król na wygnaniu“.



Zamordowanie naczelnika policyi: Inspektor Mugat.

Urodzony w 1849 roku w Lublanie, po ojcu swym, także Don Carlosie, odziedziczył pretensye do tronu hiszpańskiego, który na skutek samowolnego rozporządzenia króla Ferdynanda VII. odziedziczyła jego córka z czwartego małżeństwa, Izabella.

Zmarły Don Carlos był dwa razy żonaty. Z pierwszego małżeństwa z księżniczką Maryą Bourbon miał cztery córki i syna Don Jaime. Najstarsza z jego



Pożyteczna instytucya: Szkoła koronkarska i robót klockowych w Krakowie.

córek, Blanca, jest żoną arcyksięcia Leopolda Salwatora. Trzy młodsze jej siostry znane są ze swych przygód romantycznych. Po raz drugi Don Carlos ożenił się z księżniczką Rohan.

Don Jaime obejmuje więc teraz pretensye do



Śmierć pretendenta: Don Carlos, jego żona i Don Jaime.

tronu po swoim ojcu. Wątpliwem jest jednak, czy będzie z nich korzystał, bo szanse stronnictwa karlistowskiego w Hiszpanii zeszły do zera.

Na rycinie, jaką podajemy, widzimy zmarłego pretendenta, jego drugą żonę i Don Jaime'a, służącego w rosyjskim pułku huzarów grodzieńskich, który jest dobrze znany mieszkańcom Warszawy.

Zgon polskiego kompozytora.

Jeszcze nie przebolelismy śmierci Karłowicza, a już nadeszła smutna, żałobna wiadomość o nowej stracie, jaką polska muzyka poniosła. Zmarł mianowicie w Warszawie jeden z najznakomitszych polskich muzyków współczesnych, Zygmunt Noskowski. Mimo podeszłego wieku, mimo choroby przewlekłej, czynny był ś. p. Noskowski do ostatnich chwil, to też żal z powodu jego śmierci jest tem powszechniejszy i tem większy.

Zygmunt Noskowski urodził się w 1846 roku w Warszawie. Już jako uczeń gimnazyum zdradzał wybitny talent do muzyki, komponując piosnki i krakowiaki. W r. 1864 wstąpił do warszawskiego konserwatoryum i tam był uczniem Moniuszki i Kątskiego. Po ukończeniu konserwatoryum pracował przez czas jakiś w orkiestrze operowej, a następnie jako nauczyciel muzyki w instytucie ociemniałych. Uzyskawszy stypendyum tow. muzycznego, wyjechał do Berlina, gdzie przez trzy lata prowadził gruntowne studya nad teoryą muzyki pod kierunkiem słynnego profesora Kiela. Owocem tych studyów była symfonia A dur, wykonana w Berlinie. Zwróciła ona uwagę sfer muzykalnych na talent młodego kompozytora. Wnet też potem został Noskowski powołany na dyrektora tow. śpiewackiego „Bodan“ w Konstancyi. Praca dyrygencka nie przeszkadzała pracy kompozytorskiej, której owoce coraz były piękniejsze i coraz liczniejsze.

W r. 1881 stanął Noskowski na czele warszawskiego tow. muzycznego, co pozwoliło mu rozwinąć w całej pełni wybitne zdolności organizacyjne i pedagogiczne. Do uczniów jego należą między innymi: Paszkiewicz, Rutkowski, Maszyński, Melcer, Joteyko, Wertheim, Fitelberg, Różycki, Szymanowski i inni.

Jako kompozytor uprawiał Noskowski od początku swej działalności wszystkie rodzaje form muzycznych, a wydoskonalona jego technika kompozytorska przybrała z czasem cechy wszechstronnego



Zgon polskiego kompozytora: Ś. p. Zygmunt Noskowski.

wirtuozostwa. Płodność jego była nadzwyczajna, tak że nawet wyliczenie najwybitniejszych utworów zbyt wiele zajęłoby miejsca. Nie podobna jednak nie wspomnieć o takich, jak uwertura „Morskie Oko“, jak poemat symfoniczny „Step“, jak popularny polonez elegijny, jak wreszcie opery: „Livia Quintilla“, „Wyrok“ i ostatnia, niedawno wykończona „Zemsta“; cały szereg utworów solowych do śpiewu lub na fortepian, znany jest powszechnie. Osobna wzmianka należy się pracom Noskowskiego z zakresu teoryi.

Pogrzeb ś. p. Noskowskiego, który się odbył we wtorek bieżącego tygodnia, był najsilniejszym dowodem, jak wielką popularnością i jak powszechnym szacunkiem cieszył się zmarły muzyk. Nieprzejrzane tłumy publiczności — a wśród niej przedstawiciele najwybitniejszych sfer społeczeństwa — uczestniczyły w żałobnym akcie. Bo zgon wielkiego kompozytora, co polską muzykę podniósł na wysoki bardzo poziom, okrył żałobą cały naród.

Cześć pamięci zasłużonego muzyka!



Święto strażackie w Skierniewicach: Sztab skierniewickiej straży ogniowej. 1. prezes straży J. Madziara, 2. naczelnik J. Binder.

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

8 (Ciąg dalszy).

Po słowach tych spodziewał się objawów zdziwienia, przerażenia lub oburzenia, lecz Korpfstrauss odrzekł tylko zmienionym głosem, co bardziej go zdradziło, niż wszelkie inne poszlaki:

— Moja ręka?

— Tak, pańska — potwierdził stanowczo dawny porucznik, pewny już, że się nie myli. — Dosyć już kłamstw i wykrętów!... Gdzie jest ten dowód?... Gdzie go pan chowa?... Zapewne w kasie ogniotrwałej obok planów balonów sterowniczych, które pan chce wydać swemu rządowi. Przekonywa się pan, że ja wszystko wiem!... Znam nawet tajemnicę otwarcia tej kasy... 24, 7, 85... daty mojego aresztowania w wąwozie d'Ollioules!...

Korpfstrauss zbladł. Piorun padający u jego nóg, nie sprawiłby większego wrażenia. Nogi ugięły się pod nim. Musiał chwycić się oparcia fotelu, by nie upaść.

— Pańska imaginacya — wyjąkał — unosi pana zbyt daleko.

Paweł de Vareilles wyciągnął ręce po klucze, leżące na biurku. Bankier dojrzał jego ruch i chciał mu przeszkodzić. Zwarli się z sobą.

Apartament pod spodem był pusty; nikt nie mógł dosłyszeć hałasu, wywołanego ich walką; bankier musiał mieć ważne powody, by nie zwracać niczyjej uwagi na dramatyczną scenę, jaka się u niego rozgrywała, jeżeli nie wołał na pomoc.

Wkrótce poczuł Korpfstrauss, że słabnie w żelaznym uścisku amerykańskiego farmera; w ostatnim wysiłku wyrwał się z jego objęć i skoczył po rewolwer leżący w szufladzie.

Nie zdążył. Błysnął nóż i bankier rażony między łopatki padł z strasznym krzykiem na ziemię.

— Bóg tego chciał! — szepnął porucznik.

I pozostawiając ciało w przedśmiertnych kurczach, wziął klucze i otworzył kasę. Znajdowała się ona w wielkim porządku, świadcząc o skrupulatności jej właściciela.

Na lewo w rogu ujrzał Paweł de Vareilles żółtą kopertę, obwiązaną sznurem i zalakowaną.

Serce mu biło, gdy brał ją; w ręku swym trzymał tajemnice swego kraju. Początkowo chciał ją schować do kieszeni, rozmyślił się jednak.

Baronowa Bristow spostrzeże bez wątpienia, że dokumenty, które miała wydać, zginęły. Nie można było dać jej najmniejszego pozoru, że między tymi papierami a śmiercią bankiera zachodziła jakaś łączność. Będzie miała się na ostrożności i może udaremnić mu jego zamiary; nie będzie już mógł uwolnić swej ojczyzny od szpiegów.

Na szczęście jego na laku nie była odbita żadna pieczątka. Rozciął sznurki, wyjął z koperty dokumenty, a na miejsce ich włożył tej samej grubości zwitek papieru. Potem obwiązał znowu, zalakował i położył w tym samym rogu.

Teraz mogą już sprzedać te kopertę; nikomu szkody nie wyrządzą.

Następnie zabrał się do dalszych poszukiwań, starając się nic nie poprzewracać, by przypadkiem nie spostrzeżono, że ktoś obcy zaglądał do środka. Uważnie oglądał jeden papier po drugim, gdy nagle okrzyk radości dobył mu się z piersi.

Bywają uczucia, które nigdy nie mylą. Pomiędzy papierami, schowanymi w starym, wyblakłym portfelu, znalazł jeden, za który zapłaciłby własną krwią.

Czytał go kilkakrotnie, nie wierząc swym oczom. Rzucał on niespodziewane światło na te ciemności, w których od lat dwudziestu przebywał.

Prawdziwy zdrajca, jeden z jego kolegów, służący wraz z nim na jednym panceruiku i który potem waleczną śmiercią okupił swą winę, pisał do bankiera, błagając go, by dowiódł, że Paweł de Vareilles skazany jest niewinny i by podał sądowi jego własne nazwisko, jako zdrajcy.

Korpfstrauss zadowolony, że nie został skompromitowany, nie zwrócił najmniejszej uwagi na ten list, lekceważąc fakt, że jeden oficer cierpi za drugiego.

Wkrótce prawdziwy winowajca legł na polu walki, zanim zdołał, miotany wyrzutami sumienia, oskarżyć siebie i uwolnić swego kolegę.

Po śmierci skruszonego oficera, Korpfstrauss przestał się już lękać niebezpiecznych dla siebie rewelacyi i sprawa o zdradę została już na zawsze pogrzebaną.

Dlaczego jednak zachował ten list? Czy chciał go sprzedać rodzinie winn go? Czy też to była obrona przeciw wspólnikom nieszczęśliwego i żałującego za swe winy zdrajcy? Wobec takiego nędznika, jak bankier, wszystkie przypuszczenia były możliwe.

Paweł de Vareilles zwrócił oczy na zwłoki i szepnął:

— Niech krew twoja nie padnie na mnie... i niech Bóg przebaczy mi... Usługa, jaką oddałem swej ojczyźnie, odbierając skradzione tajemnice, zjedna mi przebaczenie rodaków... Lecz czas już uchodzić!...

Wyszedł przez okno, wstawił szybę i zaraz ją zakitował, poczem wdrapał się po sznurze do swego pokoju. Nie pozostawał jednak w nim długo; zabrał tylko wszystko, co mogłoby służyć za jakiś ślad dla policyi i znowu przez swe okienko wydostał się na dach, skąd już łatwo przeszedł do sąsiedniego domu, w którym zawczasu wynajął dla siebie pokój na szóstem piętrze. Na drugi dzień rano wyszedł najspokojniej z domu, by już do niego nie powrócić.

Mimo całego sprytu inspektora Lapipa, któremu powierzono śledztwo, sprawa o zabójstwo na placu Malesherbes została złożona do aktów bez żadnych następstw.

Wtedy Paweł de Vareilles, bezpieczny już pod tym względem, postanowił przyst pić do spłacenia długu winnej wdzięczności córce swego dozorcy więziennego.

Od samego początku poczuł żywą sympatyę dla tej uczciwej i pracowitej sieroty, która odważnie walczyła z swym ciężkim losem. Była ona przytem piękną; szczupła i wysmukła, gdy szła przez ulice Paryża, odnosząc klientkom robotę, zwracała swą urodą uwagę przechodniów.

Nieraz też Paweł de Vareilles wybierał się późnym wieczorem na Belleville, by popatrzeć w okno zasłonięte storą, za którem migotała się słabo lampa i odbijał się cień pochylonej nad pracą biednej sieroty. Myślał wtedy wzruszony o radości, jaką przyniesie do tego skromnego mieszkanka, gdy znojne życie jego lokatorki zamieni na spokojne, wesołe dnie bez troski. Te marzenia o przyszłości były dla niego wypoczynkiem po troskach, jakie musiał znosić, przygotowując się do żądania rewizyi swego procesu.

I właśnie pewnego wieczoru, gdy wracał do siebie przez ulicę Ramus, ujrzał, jak trzech opryszków wynosi z karety omdlałą kobietę do podejrzanego hoteliku.

Zaintrygowany tem, a zarazem przeczuwając jakiś napad zbrodniczy, wtargnął do środka i dzięki swej niezwykłej sile wyrwał ofiarę z rąk bandytów. Z wielkiem jednak zdziwieniem spostrzegł, że znajduje się w obecności baronowej Bristow. W jaki sposób zdołano wspólniczkę Korpfstraussa wciągnąć w tę zasadzkę?

Przy niespodzianem zjawieniu się Lapipa nie mógł uchronić się od pewnego chwilowego lęku. Czyż inspektor nie domyśli się, że ma przed sobą nieznajomego z hotelu „Księcia Portugalskiego“ i zabójcę bankiera niemieckiego?

Mimo to wysłuchał spokojnie opowiadania baronowej i chciał już sam dać wyjaśnienie, dlaczego znajduje się w tym pokoju, gdy nagle Touffe zapytał baronową o bilecik, który wręczył jej w loży attaché niemiecki.

Bilet ten Paweł de Vareilles wziął z kominka i miał go wręczyć baronowej gdy bandyci rzucili się na niego po raz wtóry. Jakaż w nim musiała być zawarta tajemnica, jeżeli pierwszą troską policyi wśród tak dramatycznej sceny było dopytywanie się o niego.

Oddawać go w takich warunkach byłoby nieprzebaczalnym błędem, porucznik też postanowił ukryć go.

Korzystając z zwrócenia ogólnej uwagi na dowódzcę apaszów, stanął przy oknie, przywiązał leżące na ziemi prześcieradło do klamry okna i niepostrzeżenie zsunął się po niem na ulicę.

Ukryty w ciemnym zakątku widział, odjazd baronowej w sprowadzonej dorożce, a potem eskortowanych przez policyę bandytów. Wtedy przy świetle latarni przeczytał bilecik. Zawierał on tylko kilka wierszy, pisanych ołówkiem:

> „Jutro domino niebieskie i żółte będzie miało papiery, a biały zakonnik umówioną sumę“.

— Ciekawym, szepnął do siebie, coby Lapipe zrozumiał z tego?

Dla niego nic nie mogło być jaśniejszego.

Baronowa zabrała z kasy ogniotrwałej bankiera żółtą kopertę, nie podejrzewając nawet zamiany jej zawartości.

Ponieważ warunki jej zostały przyjęte, winna, tylko wręczyć ją attachée niemieckiemu, dla zabezpieczenia się jednak przed policyą, która ich śledziła, mieli się spotkać nazajutrz na balu maskowym, wydanym przez ambasadę chińską i tam w przebraniu domina niebieskiego i białego zakonnika dokonać niecnej tranzakcyi.

Jeszcze tych pieniędzy nie dostała, roześmiał się Paweł de Vareilles!... Mam przed sobą dwadzieścia cztery godzin, które mi starczą, by im spłatać dotkliwego figla.

IX.

Bal ambasady chińskiej.

Baronowa wyszła pospiesznie z fiakra, który ją odwiózł, zapłaciła woźnicy i przechodząc przez trotuar, skierowała się do bramy domu.

Nie zadzwoniła jednak. Przez chwilę czekała, aż się dorożka oddali, potem upewniwszy się, że ulica jest pusta, poszła szybko w stronę placu Alma.

Nieraz mimo późnej pory przejeżdżają tamtędy dorożki samochodowe w oczekiwaniu spóźnionych gości; na szczęście natrafiła zaraz na jedną i zatrzymując szofera, rzuciła mu adres:

— Ulica Enghien 25.

Tam wygodnych w pokojach umeblowanych mieszkał Newton, podczas pobytu swego w Paryżu.

Stróż, którego kilka franków wprawiło mimo obudzenia w dobry humor, pospieszył zaprowadzić piękną Rosyankę do eleganckiego apartamentu, zajmowanego na trzeciem piętrze przez detektywa.

Wobec nazwiska tak późnego gościa zerwał się on z łóżka i szybko ubrał się.

— Pani baronowa o tej porze? zapytał. Co się stało?

Nerwowym głosem opowiedziała mu wszystkie przygody, jakie jej się tej nocy przytrafiły.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, rzekł, to panią baronowę więcej interesuje, co się stało z tym biletem, niż to, co w nim było napisane?

— W istocie, o to mi chodzi głównie.

Myśl, że ten kawałek papieru mógł wpaść w ręce policyi, która z jego treści domyśliłaby się zapewne i stwierdziła swe podejrzenia co do jej szpiegostwa, przejmowała Rosyankę wielkim strachem.

Newton namyślał się w milczeniu. To było dla niego zupełnie jasnem, że ten tajemniczy zbawca musiał mieć daleko więcej powodów do niebezpiecznej ucieczki przez okno przed ajentami, niż do ukrycia przed ich ciekawością biletu, którego treści nawet nie znał.

Musiał to być zapewne dezerter, uciekinier z ciężkich robót, lub może złoczyńca, poszukiwany przez sądy... W każdym razie przyczynę jego nagłego zniknięcia upatrywać należy tylko w obawie przed znajomością z ajentami.

Po dojściu do tego wniosku Newton rzekł tonem pewnym:

— Mojem zdaniem położenie nie jest tak straszne, jak to pani baronowa wyobraża sobie... posiadacz biletu hrabiego Fraskopelly nie zna z pewnością jego wartości... Można nawet zaręczyć, że gdy znajdzie go w kieszeni, to rzuci go jako rzecz bezpożyteczną... a już pod żadnym względem nie odniesie go policyi!...

— Dlaczego?

— Gdyż bez wątpienia ma ona jakieś rachunki z nim do załatwienia, nie będzie więc oddawał się jej w ręce.

— On?... ten człowiek, który z narażeniem własnego życia wyrwał mnie z rąk tych strasznych apaszów?

— Człowiek występny może nie być pozbawiony pewnej brawury, odrzekł poważnie detektyw... niech pani baronowa nie spieszy się z podziwianiem jego czynu... jestem bardziej sceptyczny... kto wie, czy nie liczył on na wdzięczność bogatej kobiety, którą ocalił?...

— Ja też jestem mu ją winna, niech tylko zgłosi się do mnie, a otrzyma sumę, jakiej pragnie... i wszystko co będę mogła uczynić dla niego...

— Trzeba go przedtem odszukać! zauważył detektyw z ironicznym uśmiechem.

— Tak, rzekła piękna Rosyanka przywołana tem do rzeczywistości... błagam też pana, niech go pan odszuka, niech panu odda ten bilet... inaczej, jestem zgubiona!...

— Żąda pani baronowa coś bardzo trudnego!... jeżeli jednak słowo: niemożliwość — nie pochodzi z Francyi, tem bardziej jeszcze nie pochodzi ono z Ameryki... Natychmiast zabieram się do szukania... a skoro tylko co odkryję, zaraz panią zawiadomię...

— Tylko nadzieją będę żyła!...

— A więc proszę nie poddawać się zmartwie-

niom... nic jeszcze nie jest stracone... niech pani baronowa usiłuje zasnąć, gdyż po tych wzruszeniach bardzo pani potrzebuje spoczynku.

Podczas gdy baronowa, uspokojona cokolwiek słowami detektywa, wracała do siebie, Newton poszukał na planie ulicy Ramus, dokończył swej toalety, do kieszeni wsunął nabity rewolwer i wdziawszy futro, wyszedł z mieszkania.

— Brrr! zadrżał mimo woli... nie bardzo ciepła noc... podłe to zajęcie biegać po ulicach, gdy wszyscy porządni ludzie śpią!

Podniósł kołnierz od palta i przyspieszając kroku, podążył na Belleville...

Tymczasem właściciel hotelu, mimo zaniepokojenia, wywołanego najściem policyi i obawą przed następstwami, jakie mogą stąd wyniknąć, kładł się znowu spać, gdy nagle zapukano do drzwi wchodowych.

Wstał więc z niechęcią i podchodząc do drzwi, zapytał ostrym głosem robotnika w zielonej bluzie, stojącego przed wejściem z pudełkiem narzędzi, przewieszonem przez ramię, czego chce o tak późnej porze.

— Pokoju! — odpowiedział przybysz.

Ponieważ jednak gospodarz przyglądał mu się z podejrzeniem przy blasku świecy, dziwiąc się, że porządny robotnik szuka tak późno w nocy noclegu, nieznajomy, uprzedzając zapytania, dodał celem wyjaśnienia:

— Miałem małą sprzeczkę z mą kobietą... przypaliła jedzenie... poszedłem więc z kolegami... a gdy się raz zacznie, to już wiadomo, że trudno zawrócić.... Przysiągłem, że do rana nogą w domu nie stanę... muszę dochować przysięgi... już taki zawzięty jestem, a ponieważ przed hotelem świeci się latarnia, przybyłem tutaj na spanie...

Tłomaczenie to, a jeszcze więcej brzęk pieniędzy w kieszeni robotnika, trafiło do przekonania gospodarzowi, któr zwpuścił do środka przybysza.

— Trzeba podać nazwisko! — rzekł jednak ostrym jeszcze tonem.

Nie czas było teraz, gdy mi awanturę z policyą, przekraczać przepisy.

— Chętnie... odparł robotnik.

I niezgrabnym charakterem wypisał:

Julian Didier, blacharz.

— Proszę za mną — rzekł gospodarz — biorąc klucz ze stołu.

Wszedł na pierwsze piętro i otworzył drzwi:

— Będzie tu panu dobrze...

Pokój ten znajdował się obok tego, do którego bandyci wnieśli baronową, robotnik jednak spojrzał na numer i zawołał:

— Trzynaście!... to zła liczba... wolałbym ten obok...

— Nie mogę go dać.

— Zajęty?

— Nie, ale...

Uznał jednak, że wyjaśnienie jest zbyteczne, zakończył więc głosem, w którym brzmiała jeszcze złość przeciw policyi:

— Wszystko jedno; do tego nie można!

I dodał, podając gościowi lichtarz ze świecą:

— Dwa franki pięćdziesiąt.

— Dobrze, proszę...

Widok pieniędzy poprawił humor gospodarza i uczynił go bardziej uprzejmym.

— Czy obudzić pana jutro? — zapytał grzecznie.

— Nie, dziękuję...

Po odejściu gospodarza przybysz zaczął zaraz oglądać ścianę, przedzielającą go od sąsiedniego pokoju i zapukał w nią kilka razy.

Była ona cienką, gdyż wydała donośny odgłos.

Wtedy nieznajomy nie tracąc czasu, wyjął z przyniesionego z sobą pudełka świder i szybko przewiercił dziurę, przez którą mógł widzieć, co się dzieje obok niego.

— Doskonale! — szepnął do siebie uradowany. — Teraz mogę wybornie śledzić dalsze wypadki!

Tym porożnionym z żoną robotnikiem był Paweł de Vareilles.

Gdy tylko agenci znikli wraz z swymi więźniami, pośpieszył do siebie i przebrał się w ubiór robotniczy, co mu pozwoliło spędzić w tym hoteliku noc bez zwracania uwagi.

— Jeżeli baronowa nie przeczytała jeszcze tego biletu — myślał — będzie chciała poznać, co on zawierał... jeżeli go przeczytała, lęka się teraz, co się z nim stało... jedynem zaś pragnieniem tego poczciwego Lapipa jest pochwycenie go w swe ręce... Wszyscy więc udadzą się na poszukiwanie go... ja zaś postaram się zadowolić każdego... Ach! Jak życie jest nieraz dziwne!...

Wyjął z kieszeni kawałek papieru i przy słabem świetle świecy skopiował starannie pismo attaché niemieckiego, zmieniając jednak kilka słów.

„Jutro domino różowo-czarne będzie miało papiery, a astrolog umówioną sumę“.

— A teraz astrolog i domino niech się szukają na balu! — roześmiał się wesoło.

Wyszedł na palcach z swego pokoju i podszedł ostrożnie do sąsiedniego. Klucz tkwił w zamku na zewnątrz. Przekręcił go i wszedł do środka.

Pokój znajdował się w nieładzie, sprawionym przez walkę, jaka się tu poprzednio odbyła, krzesła poprzewracane leżały na ziemi, stół zasunięty był



Pokoju! — odpowiedział przybysz.

w róg, łóżko pogniecione, przy oknie leżało prześcieradło, które ułatwiło mu ucieczkę.

Po rozejrzeniu się dokoła, skierował się do kominka i przy nim na podłodze zasunął za marmur przyniesiony z sobą bilet, tak iż zdawać się mogło istotnie, iż go nie spostrzeżono przy szukaniu.

Zaledwie zdążył powrócić do swego pokoju, gdy do hotelu wszedł nowy gość. Był to Newton, który według swych zasad chciał zacząć badanie na miejscu zajścia.

Właściciel hotelu przywitał nowego przybysza, który wyrwał go znowu ze snu, z wielką opryskliwością, zmienił się jednak odrazu, gdy poczuł w swej ręce banknot pięćdziesięciofrankowy.

Dla formy opierał się jeszcze życzeniom Newtona, który go jednak wkrótce przekonał i otrzymał pozwolenie na obejrzenie pokoju, gdzie ograbiono biedną baronową.

— Który numer pokoju? — zapytał.

— 15... wprost... klucz tkwi w drzwiach...

— All right!...

— Niech tylko pan się pospieszy... gdyby o tem dowiedzieli się, miałbym przykrości... nic jednak proszę tam nie ruszać!...

— Dobrze, może pan być spokojny.

Gospodarz wrócił do siebie, by mógł z czystem sumieniem zaświadczyć w potrzebie, że nic nie widział, ani słyszał, detektyw zaś udał się na piętro.

— Newton! — zdumiewał się Paweł de Vareilles, gdy go ujrzał przez dziurę w ścianie.

Poznał go w konsulacie i często spotykali się z nim w kawiarni Neapolitańskiej, gdzie detektyw czytywał wieczorne dzienniki.

— Newton na korzyść baronowej? — dziwił się... — to komplikuje trochę wypadki... jest on sprytny i trudniej z nim będzie, niż z Lapipem... Mniejsza z tem... na razie mam nad nim górę... łatwiej zagmatwać niż rozwikłać...

Tymczasem Newton, nie zwracając uwagi na nieporządek w pokoju, zaczął go oglądać szczegółowo.

Byłby porucznik śledził za nim bacznie. Nagle uśmiechnął się wesoło.

Detektyw znalazł papier, który on wsunął za marmur kominka. Przeczytał go szybko i schował do kieszeni, poczem wyszedł zadowolony. Zdobył odrazu to, czego chciał.

— Plan mój nie był tak bardzo zły — szepnął do siebie Paweł de Vareilles — pewny jestem, że teraz z biletem podąży wprost do baronowej!...

Podczas gdy rano robotnik blacharski opuszczał najspokojniej hotel, Newton skierował się na avenue Bosquet.

Piękna Rosyanka przyjęła go natychmiast w swym buduarze.

— Ma pan? — zapytała niespokojnie.

— Pani baronowo — odpowiedział wesoło — powiodło mi się nadspodziewanie... wszystko doskonale...

— Proszę, niech pan mówi!

— Gdy bandyci rzucili się na obrońcę pani po raz wtóry, upuścił on bilet, który miał wręczyć pani... w zamieszaniu został on zasunięty za kominek, tak iż z trudem tylko można go było znaleść... w ogólnem podnieceniu agenci byli zbyt zdenerwowani, by wszędzie zajrzeć...

— I pan go ma?

— Oto jest!

Baronowa z radością zaczęła przyglądać się biletowi; tak, to ten sam, niema najmniejszej wątpliwości. Zresztą poznaje doskonale pismo attaché.

— Och! Panie Newton — zawołała — pan mi życie ocalił... Miałam jechać zaraz do hrabiego Fraskorelly... pan mnie uchronił od tego niebezpiecznego kroku!...

— Jeżeli pani pozwoli — mówił dalej detektyw — udam się na dzisiejszą maskaradę do chińskiej ambasady i będę czuwał dyskretnie, by nic się pani nie stało złego.

— Właśnie chciałam o to pana prosić... ale pan niema zaproszenia... trzeba je okazać przy wejściu...

— Istotnie...

— Proszę być spokojnym, zajmę się tem... wkrótce otrzyma je pan...

— A więc do wieczora, pani baronowo.

— Do wieczora; wdzięczność moja jest bez granic.

Detektyw wrócił do siebie, by spocząć, co mu się słusznie należało.

Codziennie rano o godzinie dziesiątej Lapipe przychodził do dyrekcyi, policyi, by zdać raport ustny prefektowi i otrzymać nowe rozporządzenia.

Gdy dnia tego przybył na prefekturę, posługacz biurowy oznajmił mu:

— Przed kilku minutami był tu jakiś pan i pytał się o pana inspektora... powiedziałem mu, że pan zaraz przyjdzie, nie chciał jednak czekać, zostawił tylko ten list...

— Dziękuję.

Lapipe rozerwał kopertę i zaczął czytać z coraz więcej rosnącem zdumieniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tryumf awiatyki.

Dzień 25 lipca 1909, dzień, w którym francuski aeronauta Ludwik Bleriot przeleciał na swym aeroplanie przez kanał La Manche, będzie po wieki datą pamiętną, datą przełomową w dziejach nietylko aeronautyki, ale kultury i postępu. Nazwisko zaś Bleriota przejdzie do historyi, jako jednego z najwybitniejszych i najdzielniejszych wynalazców.



Tryumf awiatyki: Praca nad wydobyciem aeroplanu Lathama z morza.



Tryumf awiatyki: Bleriot z żoną w towarzystwie dwu dziennikarzy.

Ludwik Bleriot powiększa szereg francuskich pionierów żeglugi napowietrznej. A wogóle Francuzom zawdzięcza aeronautyka swój potężny rozwój. Nazwiska Montgolfierów, Blancharda, Santos Dumonta, i najmłodszych: Lathama i Bleriota, oznaczają etapy w rozwoju żeglugi napowietrznej od pierwszych początków do jej wspaniałego szczytu.

Przelotu nad kanałem La Manche oczekiwano już od kilku tygodni. Zamierzał go dokonać Latham. Przygotowywał się do tego doniosłego kroku przez czas dłuższy, odbywając próby na lądzie, a raz nawet, w ubiegłym tygodniu, puścił się w drogę do Anglii. Próba jednak nie powiodła się, a Bleriot wpadł do morza, skąd go statek przywiózł z powrotem do Francyi. Niepowodzenie to nie zraziło ani Lathama ani jego współzawodnika, Bleriota.

Skorzystawszy z pogodnego względnie dnia, wybrał się w niedzielę raniutko, zawiadamiając o tem tylko grono najbliższych przyjaciół i posterunek w Dovrze, w ryzykowaną podróż ku wybrzeżu angielskiemu. Wzlot odbył się o godzinie 4 minut 35 rano. Aeroplan Bleriota skierował się ku morzu, pędząc z szybkością 60 klm. na godzinę, a na wysokości 80 m. nad wodą. Po chwili stracił śmiały aeronauta z oczu widok ziemi ojczystej, a że angielskie wybrzeże zakryte było mgłami, Bleriot przez kilka minut nie widział nic, jak tylko morze pod sobą a niebo nad sobą. Po chwili ujrzał Bleriot ląd angielski i zarysowujące się kontury Dovru. Pożeglował śmiało w tym kierunku. Przepłynął nad flotą wojenną angielską i wylądował po zatoczeniu dwu kół na ziemię.

W Dovrze oczekiwano go z niecierpliwością, depesza bowiem przyniosła wiadomości o podróży francuskiego aeronauty. Powitano zwycięscę powietrza nadzwyczaj owacyjnie i serdecznie, gratulowano mu tryumfalnego lotu.

Od chwili, gdy wiadomość o tak świetnym przelocie Bleriota nad kanałem La Manche rozeszła się po świecie, nazwisko jego jest na ustach wszystkich cywilizowanych ludzi. Należy więc uzupełnić opis podróży kilku datami z jego życia. Ludwik Bleriot jest mężczyzną młodym, trzydziestokilkuletnim. Uzyskawszy dyplom inżyniera *des arts et manufactures*, poświęcił się przemysłowi automobilowemu, a wynalazek reflektorów i znakomitych latarń do samochodów, zapewnił mu rozgłos w tej dziedzinie przemysłu. W r. 1906 zainteresował się konstrukcyą maszyn do latania, początkowo jednak nie miał na tem polu powodzenia. Próby zawodziły. Dopiero 12-ty z rzędu model udał się Bleriotowi i na nim dokonał wiekopomnego swego dzieła.

Przelot przez kanał La Manche przyniósł Bleriotowi prócz sławy, 25.000 koron jako nagrodę, ustanowioną za to przez redakcyę londyńskiego *Daily Mail.*

W uzupełnieniu artykułu tego zamieszczamy dziś zdjęcie, przedstawiające wydobywanie aeroplanu Lathama z morza, po nieudałym wzlocie nad kanał La Manche, oraz zdjęcie Bleriota i jego żony w towarzystwie dwu dziennikarzy francuskich, gdy im na mapie kreśli drogę, którą zamierza przedostać się do Anglii.

Historyczny statek.

Oryginalny podarunek przesyła obecnie Hollandya Stanom Zjednoczonym Ameryki północnej. Jest to mianowicie najdokładniejsza kopia żaglowca *De Halve Maen*, na którym słynny żeglarz angielski Henryk Hudson odkrył rzekę, cieśninę i wielką zatokę, które noszą jego nazwisko. W roku 1609 podjął on podróż na północ z polecenia holenderskiej Wschodnio-indyjskiej Kompanii, szukając najkrótszej drogi do Azyi wschodniej. Tego wprawdzie nie dokonał, ale położył ogromne zasługi na polu zbadania „nowego świata".

Koniec życia tego dzielnego marynarza był zaiste tragiczny. Załoga statku *De Halve Mean* zbuntowała się i puściła go na morze wraz z synem i ośmioma marynarzami w r. 1611. Gdzie zginęli oni, nie wiadomo.

Historyczna reprodukcya statku wzmiankowanego, który widać na naszej rycinie, zostanie w dniach najbliższych wysłana parowcem do Ameryki. Rzecz prosta, że maszty, żagle, liny i t. d. zostaną zdjęte, aby przewóz umożliwić. Gdy się porówna dzisiejsze olbrzymie parowce z takim liliputem, podziwiać trzeba zaiste odwagę ludzi, którzy na podobnej „łupinie z orzecha" puszczali się przez ocean.



Historyczny statek: Reprodukcya statku Hudsona „De Halve Maen".

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Gdzie dyabeł nie może... — Borowska i Barbara Ubryk. — Zajęcie się polityką i jego skutki. — Zamieszki w Persyi i ich odbicie się na naszej skórze. — Hiszpanie w gościnie u Kabylów. — Upadek p. Clémenceau. — Tryumfy awiatyki. — Panika w Anglii. — Nowy wynalazek ku irytacyi Szwabów. — Co zresztą słychać w Krakowie. — Moja podróż i powrót).

Słusznie zupełnie powiada stare przysłowie, że gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle. W ubiegłym tygodniu, który był właściwie pierwszym, a kto wie, czy i nie ostatnim pod znakiem kanikuły, monotonię przerwały nam dwie niewiasty, jedna żywa, druga już nieboszczka i wytrąciły Kraków z wakacyjnej równowagi. Pierwszą z nich, żyjącą, choć zamkniętą za kratami była pani Borowska, która przypomniała się światu, raniąc się w rękę przez nieostrożność lub też chcąc popełnić samobójstwo. Która z wieści jest prawdziwa, tego twierdzić nie mogę, wiadomości bowiem, podawane przez pisma codzienne, są tak bałamutne, że trudno wybrać między niemi jakąś, na którąby się wszystkie organa prasy zgodziły. Najwiarogodniejszą wydaje się jeszcze wiadomość, iż Borowska zraniła się dobrowolnie, aby w ten sposób pozbyć się dozorczyni, z którą nie sympatyzuje. Ponieważ w młodych latach poświęcałem się z zamiłowaniem studyom nad damskiemi usposobieniami, wiem, że dwie niewiasty, jeśli się miłują, to z całego serca, jeśli się zaś nie kochają, to też z całej duszy. Pani Borowska chciała też pewnej odmiany. Z dotychczasową towarzyszką niedoli nagadała się już do syta i brakło im zapewne materyału, użyła więc może zanadto drastycznego środka, ale przecież postawiła na swojem.

Drugą sensacyą, spowodowaną przez osobnik rodzaju żeńskiego, ale już od lat kilkunastu spoczywający w cieniu drzew rakowickiego cmentarza, była t. zw. „Zbrodnia w klasztorze za dwa centy“. Zaciszne wnętrza krakowskich knajpek, w których słomiani wdowcy marzyli o przyjemnościach bodaj chwilowej rozłąki z czcigodną połowicą, rozlegały się od wyżej przytoczonych okrzyków rozmaitych obszarpanych kolporterów, którzy w ostatnich czasach rozmnożyli się w Krakowie z przerażającą szybkością, niczem grzyby po deszczu. Przy tej sposobności pozwolę sobie jednak zaznaczyć, iż pomimo deszczu grzybów mamy w bieżącym roku bardzo mało, kolporterów zaś bez deszczu za dużo. Wracając jednak do owej zbrodni za dwa centy, gdym usłyszał tak przerażające nawoływania kolportera, aż resztka włosów stanęła mi dęba na łysinie. Byłem pewny, że stało się znów w Krakowie coś strasznego, coś, co da znowu sposobność niemieckim pismom do wytknięcia nam naszego azyatyckiego barbarzyństwa. Kupiłem więc ową gazetę za dwa centy, lecz ku pocieszeniu mego serca dowiedziałem się, iż owa zbrodnia spełnioną została w Krakowie przed laty czterdziestu, a ofiarą jej padła ś. p. Barbara Ubryk, którą z powodu prawdopodobnie umysłowej choroby odosobniono w celi klasztornej. Postąpiono z nią, co prawda, po barbarzyńsku, nad tą sprawą przeszliśmy jednak już dawno do porządku dziennego a osoby, biorące w niej udział, spoczywają już dawno snem wiecznym.

Pomysł wydawniczy był, co prawda, wcale udatny, część Krakowian oburzała się jednak, iż nie powinno się poruszać tak niemiłych spraw, przykrytych już pyłem zapomnienia. Ja, co się tyczy mojej osoby, nie podzielam tego uczucia, owszem, chwalę redakcyę owej gazety, iż zamiast wężów morskich, które są przecież zagranicznego pochodzenia, popiera przemysł krajowy i to w czasie takiego dziennikarskiego bezrybia, jakiem jest każdoroczny sezon ogórkowy.

Z drugiej jednakże strony przyznać trzeba, że właściwie obecnie na kanikułę narzekać nie możemy, gdyż ani nie jest zbytnio gorąco i nie brakuje wcale spraw, które mogą zająć umysły nawet słomianych wdowców. Wiadomo powszechnie, iż najważniejszym powodem i przyczyną wszelakich wykroczeń i brzydkich czynów jest bezczynność. Człowiek, nie mający nic do roboty, myśli tylko o tem, aby coś, jak to powiadają, „zmalować“, czego potem nieraz żałuje, ale w danej chwili od tego wstrzymać się nie potrafi. Nasze żony, opuszczając nas na czas wakacyjny i rzucając na pastwę owej letniej bezczynności, truchlały na samą myśl, czego to się od zaufanych przyjaciółek i stróżek dowiedzą o swych tyranach, gdy we wrześniu powrócą do Krakowa. Tymczasem stało się inaczej, o głupstwach ani myśli, mamy dość zajęcia umysłowego pod postacią wiadomości, biegnących z zagranicy, byśmy popełnili coś takiego, co sprzeciwiałoby się przykazaniom boskim, kościelnym lub małżeńskim. Niech więc pocieszą się nasze czcigodne połowice, po powrocie z wód, czy świeżego powietrza, zastaną nas takich samych, jak zostawiły, ba nawet w lepszym stanie, bo wypoczętych; o tem, co one nazywają „głupstwami“, nie mamy nawet czasu myśleć.

Polityka wewnętrzna z powodu wakacyjnego zastoju przestała nas absolutnie zajmować. Panowie posłowie rozjechali się bez dyet na świeże powietrze, blagują swym wyborcom, co to oni chcieli zdziałać, ale im nie pozwolono i obiecują, jak zwykle, złote góry, czemu naturalnie nikt nie wierzy. Natomiast w zagranicznych sprawach nie znać wcale spokoju wakacyjnego. Turcya i Grecya kiwają sobie ciągle palcem w bucie z powodu Krety, obiecują raz wziąć się za łby, to znów się godzą — nas to jednak mało obchodzi, jakkolwiek bowiem będzie, Austrya chyba nie zapłaci już żadnego odszkodowania.

Daleko gorzej jest w Persyi, gdzie były szach wbrew swej woli podzielił losy Abdul Hamida i przeniósł się w dobrze zasłużony stan spoczynku. Persya zanadto jest jednak od nas oddalona, abyśmy mieli na naszej skórze odczuć tamtejsze wypadki, co najwyżej nasi panowie aptekarze i drogiści skorzystają ze sposobności i podniosą ceny proszku perskiego, który cieszy się takim odbytem właśnie w czasie wakacyjnym. Ponieważ jednak u nas wszystko drożeje, oswoimy się wnet i z tem także. Będziemy może mniej kupować tego dobroczynnego leku, co znów spotka się z uznaniem i pochwałą Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Czy na tronie szachów siedzi Mahomet czy Achmed mirza, naszym szachistom, pomimo gorąca uprawiającym z zapałem ten szlachetny sport, wszystko jedno.

Natomiast współczucie towarzyszy Hiszpanom, którzy niepotrzebnie zupełnie zabrali się do skóry Kabylów, a tymczasem gotowi sami oberwać coś takiego, czego sobie nie życzą. W całym kraju odzywa się niezadowolenie i grozi nawet wybuch ogólnego bezrobocia, lecz i to, miejmy nadzieję, przejdzie, Hiszpanie znów się uspokoją i będą mogli delektować się walkami byków i konspiracyami anarchistycznemi. W sąsiedztwie, za Pirenejami, upadł gabinet Clémenceau'a, a jego miejsce zajął p. Briand, niegdyś francuski Daszyński. Zmiana gabinetu przeszła bez ogólniejszego zajęcia się tą sprawą, gdyż w tym właśnie czasie umysły Francuzów zwrócone były w stronę kanału La Manche, gdzie odbywały się próby żeglugi napowietrznej między Francyą i Anglią. Pierwsza próba, przedsięwzięta przez Lathama, nie powiodła się, skutkiem zepsucia się motoru, druga natomiast okryła laurem Bleriota, który szczęśliwie wylądował na terytoryum zjednoczonego królestwa. Tryumf awiatyki wspaniały, ale również ważny powód zaniepokojenia dla Anglików. Manifestacya ich floty u ujścia Tamizy przejęła serca angielskiego ludu radością, że przecież są zabezpieczeni przed inwazyą pruską, udałe przepłynięcie kanału w powietrzu przejęło ich strachem. Co bowiem warta choćby najpotężniejsza flota, jeśli np. pewnego pięknego poranku pan Zeppelin siądzie na swego napowietrznego rumaka i posteruje za przykładem p. Bleriota nad Tamizę, zabrawszy ze sobą szkatułkę z bombami? Jedna pigułeczka, rzucona z wysokości kilku tysięcy stóp, wystarczy, aby taki sobie apokaliptyczny smok, nazwany Dreadnoughtem, pożegnował w głębiny. Suszą więc głowy mężowie stanu, w jaki sposób obronić się przed nieproszonym gościem.

Jeden z moich znajomych, znakomity poeta, dramaturg i wynalazca, opracowuje, korzystając z wakacyi, wspaniały pomysł obrony Anglii i jej pancerników przed niebezpieczeństwem, grożącem z góry, i w tym celu już w tych dniach wybiera się do Londynu, aby parlamentowi przedłożyć swój wynalazek. Ma to być ogromny pancerny parasol, rozpostarty nad wielką Brytanią i Irlandyą, a zaopatrzony na brzegach armatami, z których możnaby strzelać do balonów. Koniec środkowego kija zajmie ogromny konduktor, aby uchronić cały kraj od piorunów. Tego samego rodzaju, tylko nieco mniejsze „bombochrony“, otrzymają angielskie pancerniki, zaopatrzy się w nie także i żołnierzy. Im który piastuje wyższą rangę, tem też większy będzie mógł nosić „bombochron“. Spodziewać się należy, iż wynalazek naszego rodaka przyjęty będzie z entuzyazmem przez Anglików, a zirytuje Niemców, którzy już ostrzyli sobie zęby na angielskie dzierżawy. Wobec tego król Edward będzie mógł spokojnie wyjechać do Maryenbadu, gdzie nań już niecierpliwie oczekują... a Zeppelin pożegluje do bieguna północnego i zajmie go w imieniu Rzeszy, czem wsławi początek rządów nowego kanclerza p. Bethmana-Hollwega i raz już zdobędzie mitrę książęcą, którą dłań władca przygotował.

Ta skromna wiązanka kwiatów, uszczkniętych na niwie polityki zagranicznej, jest tylko drobną cząstką wiadomości, jakie codziennie nadchodzą i zajmują opinię pubbliczną. Ponieważ zaś każdy przeciętny Krakowianin jest z urodzenia politykiem, szczególniej przy „bombce“ zastanawiającym się nad biegiem światowych wypadków i zmieniającym dowolnie kartę Europy, nic też dziwnego, że zapomina o wszystkiem, a debatuje z przyjaciółmi nad losami świata, co tak mu czas zajmuje, iż o wierność jego każda małżonka może być zupełnie spokojną. Owo zacietrzewienie polityczne jest też przyczyną, że operetka lwowska nie cieszy się taką frekwencyą jak w ubiegłych latach, natomiast odgadywacz myśli w Parku krakowskim p. Bellini zadziwia coraz szersze sfery, radeby widzieć go ministrem spraw zagranicznych. Przy swych zdolnościach oddałby on państwu niepomierne usługi, zgadując, co myśli które stronnictwo lub sprzymierzeńcy. Podobno cesarz Wilhelm zwrócił już nań swą uwagę i zamyśla zaangażować go do swego politycznego Varieté, z którem ma zamiar objeżdżać całą Europę.

Wreszcie koniec kroniki poświęcić muszę towarzyszom niedoli, słomianym wdowcom, by pocieszyć ich w osamotnieniu. Wiedziony uczuciem ludzkości, skorzystałem z kilku pogodnych dni, jakie mieliśmy w ubiegłym tygodniu i zabezpieczywszy się od wypadku i powierzywszy swe grzeszne cielsko opiece Opatrzności, siadłem do wagonu, który miał mnie unieść w stronę naszych uzdrowisk. Przed wyjazdem sporządziłem naturalnie testament, przeznaczając wszelkie ruchomości mojej czcigodnej magnifice, a długi wierzycielom. Zakląłem ją, by w razie wypadku, nie czekając końca żałoby, wstąpiła powtórnie w związki małżeńskie, bo wtedy przynajmniej mój następca będzie mnie szczerze opłakiwał. Nie ziściły się przeczucia, do Zakopanego dojechałem szczęśliwie, choć jak zwykle ze spóźnieniem. Tu skonstatowałem, że automobilów dużo a gości stosunkowo mało, przeważają zaś rasy wschodnie, co bardzo pochlebnie świadczy o zajęciu się świata naszem uzdrowiskiem. Panie bawią się doskonale. Z Zakopanego pomknąłem do Krynicy, dziś jednak żałuję tej drogi. Płci pięknej takie tu zatrzęsienie, iż bojąc się, bym nie złamał złożonej przed żoną przysięgi, na rekolekcye dmuchnąłem między suchotników do Szczawnicy. Nieszczęście ścigało mnie jednak w drodze! I tu napotkałem wcale pokaźną liczbę uroczych kuracyuszek (chorych na serce), nie ufając więc swej męskiej stałości, powróciłem do Krakowa. aby słomianych wdowców zapewnić, iż i zdala od nich, połowice ich są zdrowe, wesołe i bawią się doskonale!

X.

Z kolei. Z powodu przepełnienia pociągu pospiesznego Nr. 3, odchodzącego z Krakowa o 6·43 rano, zaprowadza się z dniem 25 lipca br. aż do 15 września br. pociąg pospieszny Nr. 103 przez przedłużenie biegu tego pociągu, kursującego dotychczas tylko z Wiednia do Krakowa (odjazd z Wiednia 9.10 wieczór, przyjazd do Krakowa 5.53 rano) aż po Lwów. Wskutek tego podróżni, jadący pociągiem Nr 103 z Wiednia po za Kraków, nie potrzebują nigdzie przesiadać.

Do pociągu Nr. 103 dodaje się w Krakowie wagon restauracyjny.

Z powodu stałego przepełnienia pociągu Nr. 3, zaleca się publiczności, chcącej wygodnie podróżować, przedewszystkiem posługiwanie się pociągiem Nr. 103.

Pociąg ten odchodzi z Krakowa o 6·05, z Podgórza-Płaszowa o 6·12, z Tarnowa o 7·40, z Rzeszowa o 9·37, z Przemyśla o 11·22, a do Lwowa przychodzi o 1·20 popołudniu.

Zjazd w Odrzykoniu.

W pobliżu Krosna, nad rzeką Wisłokiem, znajduje się wieś malowniczo położona, Odrzykoń, z którą sąsiadują ruiny historycznego zamku. Ruiny te są celem licznych wycieczek, bo turystów nęci tam nietylko piękność i czar okolicy, ale i historya zamku, zburzonego niegdyś przez najeźdźcę Rakoczego.

W pięknej tej i historycznej miejscowości odbył się w ostatnich dniach lipca zjazd licznego grona rodaków z Odrzykonia, mieszkających po za obrębem rodzinnej wsi, a zajmujących różne, nawet wybitne stanowiska w społeczeństwie.

Zjechali się więc Odrzykoniacy aż z Ameryki, Warszawy, Rumunii, najliczniej zaś z samej Galicyi.

Byli między nimi przedstawiciele duchowieństwa świeckiego i zakonnego, nauczycielstwa, stanu sędziowskiego, przemysłowców, akademików i innych.

Zjazd powitała ludność odrzykońska wystrzałami z moździeży i doskonale zgraną, a liczną własną orkiestrą. Na pierwszem zebraniu postanowiono jednomyślnie uczcić działalność oświatową śp. ks. Serafina, proboszcza w Odrzykoniu, wmurowaniem tablicy pamiątkowej w tamtejszym kościele; śp. ks. Serafin z własnych skromnych dochodów, otworzył pierwszą szkołę na plebanii i długo własnym kosztem utrzymywał pierwszego nauczyciela.

W sam dzień uroczystości odprawiono uroczyste nabożeństwo żałobne za dusze zmarłych rodaków i dziękczynne nabożeństo z asystą. Piękne okolicznościowe kazanie wygłosił w przepełnionym kościele ks. dr. Trznadel z Przemyśla. Podczas obu mszy św. śpiewał chór akademików i miejscowy, dobrze ześpiewany chór mięszany.

Po śniadaniu udało się całe towarzystwo do ruin zamku odrzykońskiego. Przy dźwiękach orkiestry zabawiali sie tam wszyscy wesoło i ochoczo na dawnym dziedzińcu zamkowym. Po wycieczce, w sali teatru amatorskiego włościańskiego odbył się wspólny obiad, w którym wziął udział także ogólnie szanowany przez ludność dr. Starowieyski, kolator Odrzykonia, poseł na sejm krajowy. Nie brakło pięknych i treściwych toastów, nacechowanych wyższemi myślami.

Myśl zjazdu wyszła od starszych rodaków, a zorganizowaniem tegoż i przyjęciem gości zajął się komitet pod przewodnictwem ks. Bardzika, proboszcza w Jasionowie. Obecny proboszcz ks. Świątek, nie szczędził również trudów w przyjęciu gości przy chętnej pomocy miejscowych akademików. Ten pierwszy zjazd pozostanie na zawsze miłą pamiątką dla wszystkich rodaków odrzykońskich.

Zdjęcia z Odrzykonia umieszczone, w naszem piśmie, nadesłał nam jeden z księży, uczestników zjazdu, fotograf amator.



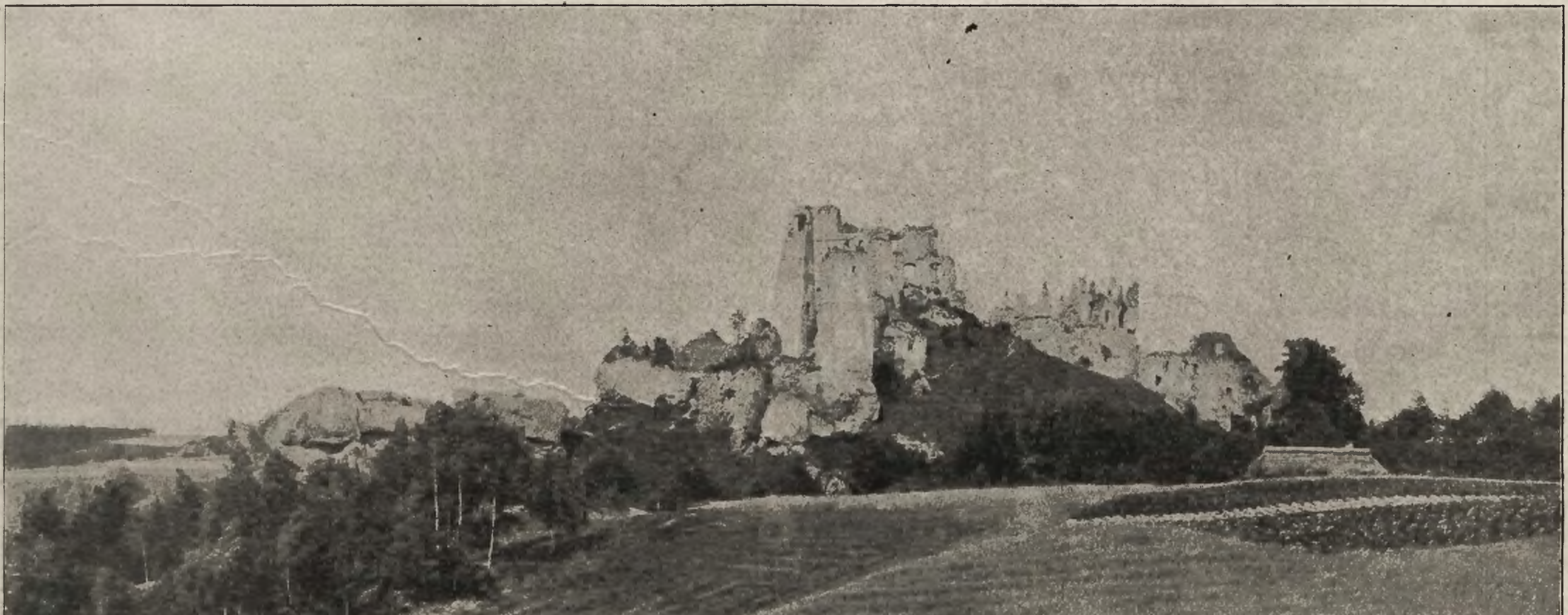
Zjazd w Odrzykoniu: Grono uczestników zjazdu z ks. kanonikiem Bardzikiem (X), przewodniczącym komitetu, w pośrodku.

Zamordowanie naczelnika policyi.

(Do illustracyj na stronie 9).

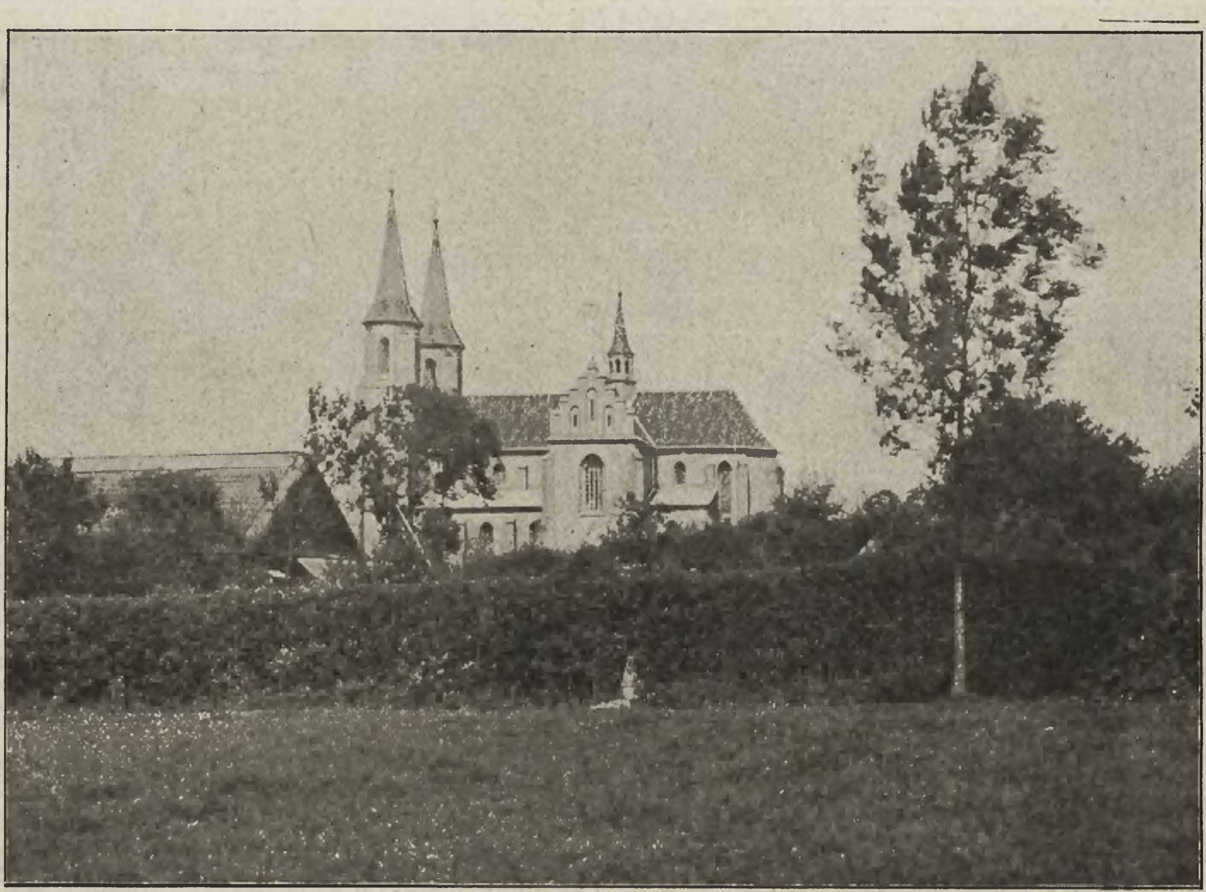
Paryż był w ubiegłym tygodniu widownią niebywałej zbrodni, która poruszyła całe miasto.

W ostatnich czasach śledziła policya za jakąś dobrze zorganizowaną bandą, która w niedługim czasie dopuściła się w Paryżu i okolicy wielu bardzo śmiałych kradzieży w kościołach i muzeach publicznych i prywatnych. Ofiarą złoczyńców padały przedewszystkiem zabytki archeologiczne, które policyi paryskiej udało się częściowo wynaleść u tamtejszych handlarzy starożytnościami. Zastępca dyrektora policyi Blot i inspektor Mugat zajmowali się głównie śledzeniem tej sprawy.



Zjazd w Odrzykoniu: Ogólny widok ruin zamku.

W ubiegłą sobotę przeprowadził Blot rewizyę u jednego z antykwaryuszów i przy tej sposobności wpadł na ślady herszta tej bandy. Gdy wszelkie dane wskazywały na to, iż był nim znany już skądinąd policyi Emil Delaunay, udał się Blot w towarzystwie Mugata i czterech detektywów do jego mieszkania, aby przeprowadzić rewizyę i ewentualnie go uwięzić. Zadzwoniono do mieszkania złoczyńcy, ten jednak nie otworzył, lecz zapytał, kto ma do niego interes. Po chwili dopiero, na wezwanie w imieniu prawa, otwarły się drzwi, a komisya weszła do wnętrza. Na zapytanie, czy on się nazywa Delaunay, dał właściciel mieszkania potakującą odpowiedź, równocześnie jednak wypalił z rewolweru, a Blot z przestrzelonem sercem upadł martwy na ziemię. Teraz rzucił się na mordercę inspektor Mugat, nie mógł jednak sprostać jego olbrzymiej sile i po chwili podzielił los swego przełożonego, trafiony śmiertelnie w okolicę stosu pacierzowego. Pozostali przy życiu detektywi chcieli ująć zbrodniarza, ten jednak widząc, że ucieczka jest niemożliwa, samobójstwem zakończył występny żywot. Przeprowadzona natychmiast w jego mieszkaniu rewizya dała nadspodziewany rezultat; znaleziono całe stosy zrabowanych przedmiotów sztuki, które przeniesiono do prefektury. Ogólne współczucie całego Paryża towarzyszy tragicznemu zgonowi dwu urzędników, którzy położyli życie w obronie publicznego bezpieczeństwa i porządku społecznego.



Zjazd w Odrzykoniu: Nowy kościół w Odrzykoniu.

Z Persyi.

Abdykacya szacha powstrzymała bratobójcze walki, których widownią był przez kilka dni Teheran. Miejsce Mahometa Alego zajął jedenastoletni Achmed Mirza, w imieniu którego objął regencyę Assad-el-Muelk. Bramy miasta otwarto, barykady pozrywano, trupy usunięto, a wesołe gromady mieszkańców z czerwonemi odznakami przeciągają ulicami. wznosząc entuzyastyczne okrzyki na cześć Sipahdara. Niespełna trzyletnie rządy zdetronizowanego szacha tak dały się we znaki poddanym, iż z najżywszą radością powitali obecną chwilę swego wyzwolenia. Były władca schronił się do letniej rezydencyi poselstwa rosyjskiego w Leogendeh i równocześnie wysłał telegram do cesarza Mikołaja, którego opiece powierzył siebie i swą rodzinę. Powoli wraca w Teheranie życie do dawnego porządku, nowy rząd, w skład którego weszli Sipahdar i Sardar Assad, dokłada starań, aby nastał wreszcie tak upragniony spokój.

Teheran, jako węzeł komunikacyjny i główne ognisko handlu perskiego, ma w życiu ekonomicznem kraju nader ważne znaczenie. Leży on na bezdrzewnej wyżynie, stanowiąc przejście od typowego miasta Wschodu, do postępowej stolicy europejskiej. Obok całego labiryntu wąskich, krętych uliczek, wybito w ostatnich czasach obszerne place, bulwary i szerokie ulice, obsadzone drzewami. Od pewnego czasu znajduje się już w Teheranie nawet tramwaj. W środku północnej dzielnicy wznosi się piękny pałac szacha z ogrodami i stawami. Więzienia i dom poprawy stanowią część zabudowań pałacowych. Europejczycy zamieszkują wyłącznie północną dzielnicę miasta, tu też mają swą siedzibę i przedstawiciele mocarstw zagranicznych.

Szach tylko w zimie przebywa w Teheranie i w tym czasie ludność stolicy wzrasta do 300 tysięcy, przeważnie Szyitów. W lecie, kto tylko mo-



Zjazd w Odrzykoniu: Fragment ruin odrzykońskich z pomnikiem Kościuszki.

że, opuszcza miasto z powodu nieznośnych upałów i osiada w górach Elborus, gdzie się znajduje piękna miejscowość willegiaturowa Szemiran. W okolicy wznoszą się nadto wspaniałe zamki królewskie, położone wśród oaz, które są zasilane wodociągiem. O siedm kilometrów leży znane miejsce pielgrzymek, Szabduealum, połączona z miastem zapomocą kolei.

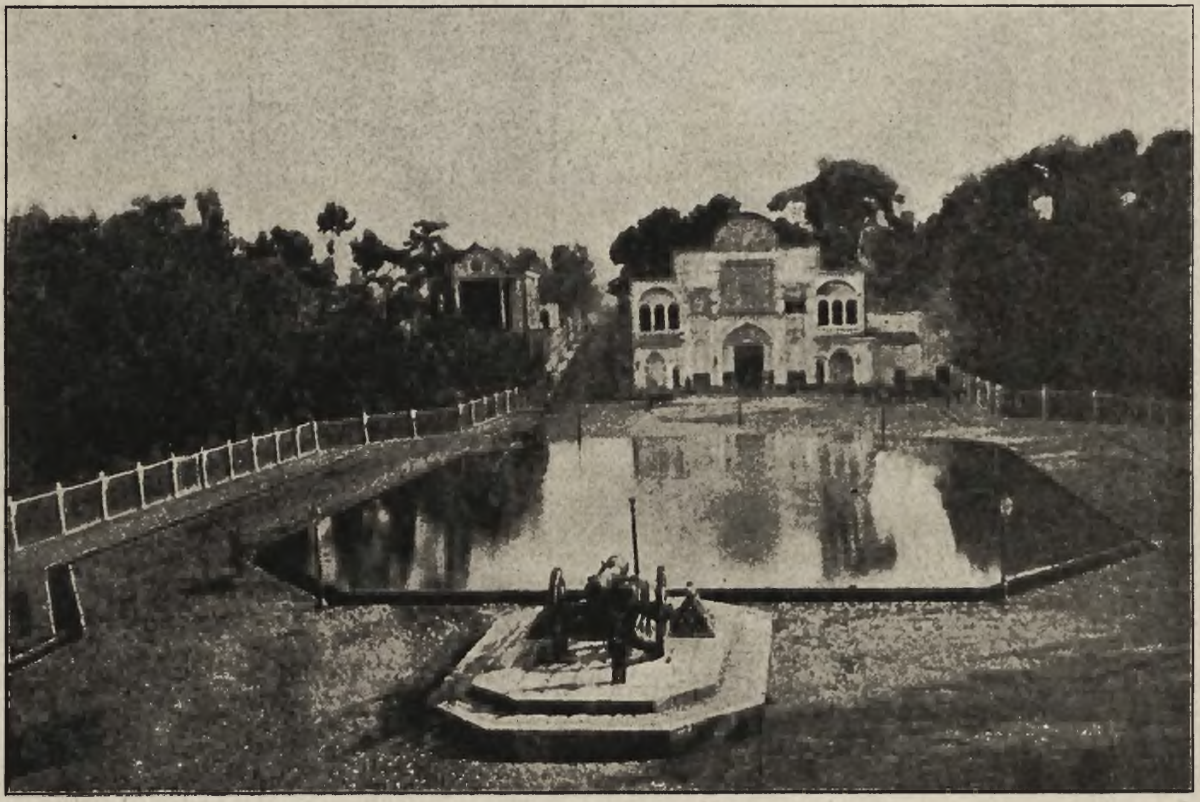


Tadeusz Łowczyński, w roli Jontka.

W Teheranie jest technika z europejskimi profesorami, szkoła wojskowa, zreformowane szkoły ludowe i średnie, wydział teologiczny. Prócz tego są szkoły ormiańskie, francuskie i angielskie. Bazary są wielkie i urządzone w sposób europejski. Od chwili zwycięstwa zwolenników konstytucyi życie uliczne w Teheranie zaczyna biedz dawnym trybem, handel i przemysł, które w czasie zamieszek podupadły, wracają do pierwotnego rozkwitu, podnosi się też znaczenie stolicy, która w ostatnich czasach bardzo ucierpiała i dużo jeszcze czasu upłynie, nim powróci do pierwotnego stanu z przed wybuchu rewolucyi.

Jadwiga Lachowska.

W gronie śpiewaczek operowych teatru lwowskiego bardzo zaszczytne miejsce zajmuje p. Jadwiga Lachowska. Nadzwyczajny jej, rzadki talent, zwrócił odrazu uwagę muzykalnej publiczności i krytyki, to też już w samych początkach swej karyery artystycznej stała się ulubienicą i faworytką Lwowa. Ta sama sympatya towarzyszy jej i w Krakowie.



Z Persyi: Pałac szacha w Teheranie. Na przodzie historyczna armata, służąca niegdyś do tracenia przestępców.

Popisową rolą p. Lachowskiej jest „Carmen“. Doskonałe warunki zewnętrzne, ogromny temperament, swoboda w ruchach, a przedewszystkiem prześliczny, duży głos mezzo sopranowy, pozwalają młodziutkiej tej śpiewaczce stworzyć postać czarującą wdziękiem, porywającą plastycznością i wyrazistością gry.

Ogromne powodzenie zdobyła też p. Lachowska jako Suzuki w „Madame Butterfly“. Partya to w operze drugoplanowa, mimo to dająca dużo pola do popisu. Talent p. Lachowskiej wysunął partyę Suzuki na jedno z pierwszych miejsc.

Zanotować też należy ogromny sukces, jaki p. Lachowska zdobyła w Warszawie, gdzie w ubiegłym sezonie kilkakrotnie wystąpiła gościnnie, kreując partye: Carmeny, Suzuki i Amneris w „Aidzie“. Krytyka tamtejsza, choć bardzo wybredna, nie szczędziła utalentowanej artystce słów najgorętszej pochwały.

Po sezonie letnim wyjeżdża p. Lachowska do Medyolanu na dalsze studya. Będą one uzupełnieniem sumiennej nauki w szkole Souvestrów we Lwowie.

Tadeusz Łowczyński.

Szybkim krokiem zdąża do szczytu sławy i powodzenia artystycznego ten młody a nadzwyczajnie utalentowany śpiewak. Po dwóch sezonach — w Warszawie i we Lwowie — posiada ogromny już repertuar, a każda rola opracowana sumiennie, do najdrobniejszych szczegółów.

W krótkim przeciągu czasu, który Łowczyński spędził na scenie, widoczny jest i uderzający postęp. Głos tenorowy piękny, pełen metalicznego dźwięku, spotężniał, zahartował się niejako, deklamacya coraz wyraźniejsza, a gra sceniczna pewna, bez zarzutu.

Udowodnił to artysta najlepiej partyą Cania w „Pajacach“, którą w operze lwowskiej kreował po raz pierwszy. Głosowo usposobiony doskonale, śpiewał nietylko dobrze ale pięknie, grał zaś wspa-



Z Persyi: Perscy tancerze na ulicach Teheranu.



Jadwiga Lachowska, w roli Suzuki.

niale. Jego Canio był pełen bólu i groźnej rozpaczy, wielka arya końcowa I aktu, tak znana, wypadła też ogromnie interesująco, a ręce same składały się do oklasku, by utalentowanemu artyście wyrazić uznanie szczere i serdeczne.



Z Persyi: Przywódca Kurdów książę Firman-Fillman w otoczeniu zwolenników.

Jak wytrwałym śpiewakiem jest Łowczyński, niech udowodni fakt, iż na nim spoczywał cały repertuar ostatniego sezonu operowego we Lwowie, gdyż tylko kilka partyi bohaterskich śpiewał Męciński. Samą partyę Pinkertona w „Madame Butterfly“ śpiewał około 30 razy. Mimo to i mimo że obecnie występuje stale w Krakowie, w głosie jego nie znać prawie zmęczenia.

Dobrze jednak robi Łowczyński, że w jesieni wyjeżdża do Włoch, aby odpocząć po studyach dwuletniej, tak ciężkiej i wyczerpującej pracy i aby uzupełnić swe studya. Należy się spodziewać, że dłuższy pobyt pod czarownem niebem włoskiem przyczyni się nie mało do dalszego rozwoju tego pięknego materyału i że młody śpiewak wróci stamtąd jako artysta skończony.

Życzymy mu tego z całego serca.

Nadesłane.

Pół roku zaledwie upłynęło, jak w Krakowie, dwóch młodych ludzi, lecz fachowych, zawiązało spółkę wydawniczą

reprodukcyi pocztówek artystycznych

p. f. „Wisła“. Ciężkie są wszystkiego początki, a szczególnie w pracy nad rozwojem przemysłu krajowego, który zawsze walczyć musi z konkurencyą pruską. Okazało się jednak, że przy dobrych chęciach i wytrwałej pracy i nasz przemysł polski może zdobywać rynki zbytu i skutecznie konkurować z obcą a szczególnie pruską tandetą. „Wisła“ rozwija się nadzwyczaj szybko i dziś otwierając własne filie w różnych miastach Polski, skutecznie wypiera obce wyroby a nawet znajduje rynki zbytu po za granicami Polski, co świadczy o wysokości naszej kultury przed obcymi.

Zauważyć należy, że właścicielami i założycielami „Wisły są:

Pp. A. Stolarski i W. Zapała.

Głosy publiczne.

Konkurs. Wydział Tow. Oświaty Ludowej we Lwowie, rozpisuje ponownie konkurs na napisanie popularnej „Historyi Polski“, wyznaczając termin do dnia 1-go października 1910.

Praca ta ma przedstawiać całość dziejów Państwa i Narodu polskiego do dni dzisiejszych, z szczególniejszem uwzględnieniem dwu ostatnich stuleci. Historya ta, przeznaczona dla czytelń Towarzystw oświatowych, ma być napisaną treściwie, a popularnie i patryotycznie, aby mogła przemawiać do dusz czytelników; oprzeć się zaś winna na wynikach dzisiejszych badań naukowych. Wymaga się, by praca ta zawierała elementarne wiadomości z geografii ziem polskich i zachowała równomierność w przedstawieniu stosunków wewnętrznych z dziejami politycznemi. Co do objętości, winna obejmować dziesięć do piętnaściu arkuszy druku.

Prace opatrzone godłem należy nadesłać pod adresem Prezesa prof. dra Stanisława Zakrzewskiego we Lwowie, ul. 29 Listopada, L. 39 i dołączyć kopertę opatrzoną tem samem godłem, a kryjącą nazwisko i adres autora.

Wydział T. O. L. naznacza za najlepszą pracę nagrodę 500 koron, druga nagroda wynosić będzie 300 koron. Autor pracy przeznaczonej do druku otrzyma nadto honoraryum po 30 koron od arkusza.

Ponieważ prof. Jan Friedberg wystąpił ze sądu konkursowego, przeto sąd ten składać się będzie z następujących osób: Prezesa Twa Prof. dra St. Zakrzewskiego, Wiceprezesa Ks. Dra Prof. Jana Fijałka; członków Zarządu: Pani Maryi Aleksandrowiczównej i p. Piotra Zdeka; nadto uproszono do sądu: Panią Maryę Reuttównę i p. St. Rymara z Krakowa. Sądowi konkursowemu zastrzega się prawo kooptacyi. We Lwowie 15 lipca 1909. Za Wydział Twa Oświaty Ludowej we Lwowie: Ks. Prof. dr. Jan Fijałek m. p., Prof. dr. Stanisław Zakrzewski m. p.

Teka graficzna. Jeden z młodszych artystów krakowskich, p. Włodzimierz Konieczny, bawiący obecnie w Paryżu, wydał „Tekę graficzną“ z całym szeregiem swych akwafort i oryginalnych litografij. Z prac tych przebija wiele zdolności i dużo temperamentu. Pocieszającem jest, że nasi młodsi malarze wyjeżdżają teraz częściej do Paryża, niż np. do Monachium, gdzie nie mogli zdobyć odpowiedniej sumy wiadomości artystycznych. „Teka graficzna“ podoba się ogólnie, a krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych nabyło kilka jej egzemplarzy do rozlosowania pomiędzy swych członków. Sądzimy, że to ostatnie dzieło p. Koniecznego powinno się znaleść w każdym polskim domu, gdzie istnieje zainteresowanie się sztuką rodzimą i to tem więcej, ponieważ bardzo niska cena „Teki graficznej“ (50 K) umożliwia wielu ludziom jej nabycie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 29.

Szarada: Pasieka.

Zadanie konikowe:

Lecę ku Tobie, jako ptak wędrowny,
Skrzydłem mi Panie jest serce tęskniące,
Do Ciebie rwę się, jak żal niewymowny
Z pól, które mogił zaległy tysiące,
Lecę ku Tobie, bo mi z każdą wiosną
Łzy i nieszczęścia i mogiły rosną.

Gwiazda magiczna: Zagłoba, Ałłah, Kroacya.

Zagadka; Bób.

Okienko: Kapusta. urwisko, alkohol.

Logogryf: August Cieszkowski.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: L. Lemiszewski Kołomyja, K. Reblun Lwów, O. Górkowa Chyrów, K. Link Sandomierz. A. Biliński Tarnopol, M. Lipowski Kraków, W. Kostrzewski Przrmyśl, St. Beyer Lwów, S Bieniaszewski Tarnów, J. Skrzyński Kraków, M. Osadowska Lwów, J. Sanojca Kreków, Ogibiński Kolomyja, S Głowacki Rzeszów, Ł. Witekowa Mościska, M. Kuzia Wadowice K. Szymczykiewicz Poznań, M. Silberman Lwów, K. Kliszewski Kraków, T. Horak Lwów F. Nikiel Nowy Sącz, J. Błyskal Tarnów, A. Rotter Stanisławów, M. Liskowacki Radom, J. Długoszewski Kraków, J. Brożyna Złoczów. H. Mikiewicz Kraków, B. Berger Lwów, K. Jakubowski Kraków, M. Kuzia Wadowice. J. K. Januszewski Podgórze. A. Polończykowa Żywiec. J. Augustynowicz Żywiec. W Rapacz Żarki. M. Kościński Żarki. K. Fuchs Czeremchów. St. Cześniakiewicz Kraków, Januszewski Podgórze. W. Trojacki Wietrzychowice, R. Rawski Kołomyja, L. Najmanowski Kraków, J. Mroziński Lwów, R. Guzik Gołonóg, A. Rotter Stanisławów, W. Czeppé Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *R. Rawski Kołomyja*. Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

† W małem miasteczku.

Obywatel, którego dom stoi w płomieniach, do naczelnika straży pożarnej:

— Bójcie się Boga panowie, dom pali się już pół godziny przeszło, a wy dopiero teraz się zjawiacie.

— Tak... tak... ale widzi pan łaskawy, dziś jest ogromny kurz, a pan starosta wyjeżdża popołudniu na spacer... więc po drodze musieliśmy skropić gościniec koło starostwa...

Głosy publiczne.

Stefan Gralewski, **Melodye duszy.** Poezye. Lwów 1909. Księgarnia G. Maniszewskiego, Warszawa E. Wende i Ska.

Zbiorek poezyi, pięknej treści i formy, wydany nader starannie. Nazwisko autora, znane jest już w nowszej literaturze polskiej z prac pomieszczanych w różnych czasopismach, obecny zbiorek stanowić może piękną ozdobę każdej biblioteki.



HENRYK SCHWARZ

Magazyn towarów bławatnych i konfekcyi damskich.

Telefon 43 **Kraków, Grodzka 13** Telefon 43

Adres telegraficzny: HASCHWARZ KRAKÓW. Czek pocztowej Kasy oszcz. Nr. 800.803.

Sprzedaż metrowa

MATERYAŁÓW NA SUKNIE,
KOSTYUMY I BLUZKI.

Wełny od Kor. 3 za metr. — Kapelusze, rękawiczki.

Własne pracownie.

W interesie własnego zdrowia powinien każdy żądać wszędzie tylko

TUTEK CYGARETOWYCH

Z FABRYKI RUDOLFA HERLICZKI W KRAKOWIE

Ostrzega się przed licznemi naśladownictwami, które się w ostatnich czasach pojawiły!

Wzory i cenniki wysyła fabryka na żądanie darmo i opłatnie.

= Tryumf =
francuskiej kosmetyki



Pełny biust otrzyma Pani zapomocą **Eliksiru Lavalier** **Na zewnątrz** pewnie skutkujący preparat **Lavaliera w Paryżu.** — Cena flaszki K 8. Na składzie w apt., droguer., perfumer. lub za zaliczką przez **Lavalier-Depot, Feliks Perker** Wien, I. Karlsplatz 3.

MECHANO-LECZNICZY

Zakład Zanderowski

LECZNICA
ORTOPEDYCZNO-CHIRURGICZNA

Kraków, Zyblikiewicza 9

TELEFON 796.

Zakład otwarty przez cały rok i prowadzony tylko przez lekarzy.

Dr. Merz. Dr. Staszewski. Dr. Wachtel.

ORYGINALNE APARATY Dra ZANDERA (Sztokholm)

Gimnastyka lecznicza i ortopedyczna. Leczenie gorącem powietrzem.

Mięsienie ręczne, wibracyjne i elektryzowanie.

Własna pracownia dla sporządzania gorsetów, sztucznych kończyn (Hessing), opasek przepuklinowych i t. p.

Wskazania: 1) Skrzywienie kręgosłupa i garby, choroby stawów i kości, nogi płaskie i szpotawe, zwichnięcia wrodzone i nabyte. 2) Skutki siedzącego trybu życia, otyłyłość, niedowład kiszek, artrytyzm i rheumatyzm, choroby serca i naczyń krwionośnych, choroby nerwowe i t.d.

APARAT ROENTGENA w celach rozpoznawczych chorób chirurg. i wewnętrznych.

Sala operacyjna. Pokoje dla chorych.

Godziny przyjęć: od 9—1 i od 4—6.

Piękność Odaliski

osiągnąć może każda Pani przez użycie prawdziwych wschodnich piękności, których składniki i wyrób strzeżono dotąd ścisłą tajemnicą. Mój długoletni pobyt na wschodzie i liczne znajomości odkryły przedemną prastarą receptę 3 głównych środków.

Są to:

1. **Prawdziwy wschodni krem** nie zawiera żadnych metalowych domieszek — które wprawdzie działają szybko, lecz niszczą cerę na zawsze. — Krem ten czyni skórę twarzy delikatną i miękką, usuwa wszelkie błędy piękności, jest wolny od tłuszczu, do użycia także w dzień, usuwa połysk cery i nigdy się nie psuje. **Cena słoika Kor. 2.**
2. **Prawdziwe wschodnie otręby migdałowe** (extra praep.), znakomity wschodni środek piękności, orzeźwia system nerwowy, zastępuje kąpiele elektryczne i z kwasu węglowego, nadaje skórze miękkość i elastyczność, zapobiega tworzeniu się zmarszczków i tłuszczeniu skóry, wydelikaca cerę — a każda Pani, używając stale tego środka piękności osiągnąć może najśmielsze marzenie. **Cena puszki blaszanej Kor. 1·50.**

Prawdziwe wschodnie mydło, klejnot kosmetyczny — nadaje skórze białość alabastru i świeżość młodzieńczą. **Cena za sztukę Kor. 1·—**

Te trzy środki używane razem, są źródłem

Piękności cór wschodu.

Za poprzedniem nadesłaniem należvtości (także markami) lub za zaliczką — prawdziwe tylko w chemicznem Laboratoryum prawdziwych wschodnich kosmetycznych środków aptekarza **Gustawa Proche'ego Brcka. Bośnia.**

We Lwowie: u Jak. Rechena c. k. nadw. dostawca ul. Halicka 18. **W Krakowie: u J. Ehrlicha, Wrzesińska 3 i J. Hanaka i Sp., Szewska 5.**

Magazyn wysyłkowy

towarów tkackich

Braci Towarnickich

Lwów, ul. Kopernika 17.

Wysyła na żądanie każdemu **cennik i wzory** rozmaitych tkanin a to: płótna, płócienka, zefiry, batysty, obrusy, ręczniki, chusteczki, dymy, drelichy, zeigi, szewioty. — Materye wełniane, kamgarny, sukna i t. p. po bardzo niskich cenach.

Zawsze nieładną i przykrą jest

otyłość

English Breakfast Tea

trawi niezwykle, jest zdrową i w smaku przyjemną. Jedynie prawdziwa tylko w obowiązaniu z łyka. Zamówienia przez

Aptekę Einhorn, w Wels 129
(Austrya górna).

1 paczka 3 kor. Podwójna paczka kor. 5·50. Próbka kor. 1·50. Porto osobno.



„Minerwa“ Opaska brzuszna

najlepsza i najracyonalniejsza Modna specyalna opaska do osiągnięcia skończenie dobrej figury do nabycia jedynie u

Jakóba Führera
bandażysty
we Lwowie, ul. Krakowska 2 (róg Rynku).

Pasy Menstruacyjne dla Pań, Prostotrzymacze po umiarkowanych cenach. Zamówienia z prowincyi wysyła natychmiast.





Zdzisław Zdanowicz, Kraków

ulica Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Telefon 516.

Magazyn galanteryjny.
Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



Letni Bar Amerykański

w sztucznym ogrodzie nad Rudawą (pod torem wyścigowym).

Na Błoniach

Restauracya + Kawiarnia + Mleczarnia

Koncert muzyki wojskowej

Obsługa szybka. Ceny przystępne. WSTĘP WOLNY. Bliższe szczegóły na miejscu.

BAR oświetla w nocy lampą naftowo-gazowo-żarową o sile 700 świec firmy R. Ditmar.

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

ZAPACH DAMY W CZERNI

napisał **Gaston Leroux.**

23 (Ciąg dalszy)

W godzinę potem przybył Rouletabille. Czekałem na niego i wybiegłem na jego spotkanie. Przerwał mi zaraz i zapytał, czy udał mi się połów, w oczach jednak jego czytałem inne myśli. Chciałem i ja okazać się złośliwym.

— Miałem doskonały połów! Wyłowiłem starego Boba!

Zdziwił się, sądziłem jednak, że tylko udaje.

— Dobrze wiedziałeś, po co wyznaczyłeś mi to miejsce na połów.

— Sam chyba nie wiesz, co mówisz, inaczej bowiem nie zmuszałbyś mnie do protestowania przeciw takiemu oskarżeniu.

— Jakież oskarżenie? — zawołałem.

— To, iż pozostawiłem starego Boba w agonii w grocie.

— Och! Uspokój się, stary Bob wcale nie leży w agonii. Jest tylko pokaleczony. Przyznaje się, iż chciał ukraść czaszkę, jaką posiada książę Galicz.

— Co za myśl! — roześmiał się Rouletabille.

Potem, pochylając się ku mnie, utkwił we mnie swój wzrok i rzekł:

— Czyż ty w to wierzysz? I niema żadnej innej rany?

— Owszem, ale doktorzy mówią, że nie jest ona niebezpieczna. Ma rozdartą pierś.

— Rozdartą pierś? — zawołał, ściskając mnie za rękę. — A w jakiż sposób rozerwał ją?

— Nie wiemy tego, nie widzieliśmy. Stary Bob jest bardzo wstydliwy: nie chciał zdjąć przy nas ubrania i o tej ranie nie wiedzielibyśmy, gdyby nie powiedział nam Walter, że jest cały we krwi.

W zamku spotkaliśmy pierwszą panią Edytę; rzekła do nas z niepokojem:

— Nie chce, bym była przy nim; jest to niezrozumiałe.

— O, pani — odparł Rouletabille z niskim ukłonem — nic nie jest niezrozumiałego, gdy zechcemy tylko zrozumieć.

I złożył jej życzenia, że odnalazł się wuj, którego uważała za straconego.

W chwili tej nadszedł książę Galicz, który dowiedział się już o wypadku i chciał odwiedzić starego Boba. Pani Edyta uspokoiła go co do następstw, jakie mogła pociągnąć za sobą miłość starego Boba do starych czaszek. Książę uśmiechał się, gdy mówiła, że stary Bob chciał ukraść jego własność.

— Znajdzie pan swoją czaszkę w głębi groty, gdzie ona stoczyła się razem z nim... Sam mi o tem mówił.

Książę wydał się bardzo zainteresowanym tą sprawą i dopytywał o szczegóły. Pani Edyta opowiedziała, że wuj wydobył się z zamku przez podziemne przejście, prowadzące ze studni do morza; tam zaś przy końcu tego korytarza czekał już na niego Tullio ze swą barką.

— Jest to dziwne! — zauważył książę. — Przedwczoraj rano „Kat morza“ pożegnał się ze mną, mówiąc, że po południu jedzie do Wenecyi, miejsca swego urodzenia i że już sprzedał swą barkę. Jakże więc mógł przewozić potem w nocy starego Boba?

Nastąpiło milczenie; po chwili książę odezwał się znowu.

— Jest to tylko drobnostka; oby tylko wuj pani wyleczył się jak najprędzej z swych ran! A może pani będzie tymczasem tak dobrą — dodał z czarującym uśmiechem — i dopomoże mi do odszukania krzemienia, który również mi zniknął, jest to ostry, długości dwudziestu pięciu centymetrów krzemień, zakończony w kształcie skrobaczki; jednem słowem jest to najstarsza ludzka skrobaczka. Zależy mi na niej bardzo i może pani zapyta o nią swego wuja.

Pani Edyta przyrzekła mu to, poczem książę pożegnał nas i oddalił się. Gdyśmy się obrócili, za nami stał Artur Rance. Musiał słyszeć tę rozmowę i zdawał się o niej myśleć. W ręku trzymał swą laskę i tak uporczywie spoglądał na Edytę, iż ta rozgniewana, zawołała:

— Wiem, o czem myślisz i wcale tem nie jestem zdziwiona... możesz mi wierzyć.

A zwracając się do Rouletabille'a, rzekła drwiąco:

— W każdym razie nie może pan wytłomaczyć, w jaki sposób mógł się znajdować w szafie, gdy go wcale nie było w Wieży Czworobocznej.

— Pani — odpowiedział Rouletabille, patrząc jej w oczy, jakby chciał ją zahypnotyzować — cierpliwości i odwagi! Jeżeli Bóg jest ze mną, jeszcze przed wieczorem wytłomaczę to, o co się pani pyta.

XVII.

W kilka chwil potem znajdowałem się sam na sam z panią Edytą w dolnej sali w Wilczycy. Widząc jej niepokój, starałem się uspokoić ją. Boję się, mówiła. Czyż pan nie czuje, że dokoła nas coś się dzieje? — Gdzie? — Jakto, gdzie! Dokoła nas. Zbliżyła się do drzwi. Dokąd pani idzie? — Chcę poszukać kogo, boję się być sama. — Kogo chce pani szukać? — Księcia Galicza? — Ach! Swego księcia... Czyż tak go pani potrzebuje... Czy mnie niema przy pani? — Wyjdźmy!

Pociągnęła mnie na dziedziniec, który pławił się poprostu w słońcu. Zbliżało się południe. Patrzyłem na panią Edytę, jak zimny pot spływa z jej bladego czoła. Na progu przed Wieżą Karola Zuchwałego siedział Robert Darzac i Rouletabille, który trzymał w ręku laskę Artura Rance'a. Nie wiem dlaczego szczegół ten zaniepokoił mnie. Laską tą pokazywał coś Robertowi pod sklepieniem. Słów jego nie słyszeliśmy; pani Edyta zatrzymała się, lecz Rouletabille dał znak, byśmy się przybliżyli.

— Co tu robicie? zapytałem.

Wtedy Rouletabille wskazał laską na zawieszony u góry herb Mortola, wykuty on był w kamieniu, lecz wisiał tak lekko, iż każdej chwili mógł spaść na przechodzących tamtędy. Dostrzegł on to i teraz zapytał pani Edyty, czy można go strącić, by potem zawiesić mocniej.

— Pewny jestem, mówił, że dosyć się go dotknąć laską, by on spadł.

I podał laskę pani Edycie.

— Pani jest wyższą ode mnie, proszę spróbować.

Napróżno staraliśmy się wszyscy dotknąć herbu; wisiał on za wysoko; chciałem zaproponować, by w inny sposób go dostać, gdy naraz za plecami memi rozległ się śmiertelny krzyk!

Obróciliśmy się jednym ruchem i z piersi naszych dobył się okrzyk przerażenia. Najbardziej przestraszony jest Rouletabille. Widziałem jak w najtrudniejszych okolicznościach, wśród mroków nocy zachowywał zimną krew, a teraz w samo południe drży na całem ciele. Mattoni, który przechodził przez dziedziniec, chciał podbiedz do miejsca, skąd rozległ się krzyk, lecz Rouletabille przytrzymał go i sam poszedł naprzód, a my za nim. Zbliżamy się jak widma do jęku śmiertelnego, do eukaliptusa, z pod którego on się rozchodzi. Poznaliśmy go, to Bernier z piersią zalaną krwią, w agonji, z przedśmiertnym harkotem na ustach. Nachyliliśmy się nad nim i doleciały nas ostatnie jego słowa: Fryderyk Larsan! i ciało jego drgnęło ostatni raz.

Fryderyk Larsan! On wszędzie i zawsze, choć nigdzie go niema! Nowy dowód: trup, a koło niego nikogo! Obróciliśmy się na krzyk ten tak szybko, iż mogliśmy dojrzeć cios, a zobaczyliśmy tylko jego skutek... Jakby wiedzeni jedną myślą, skierowaliśmy się do Wieży Czworobocznej; bez wahania weszliśmy do pokoju starego Boba, leżał on najspokojniej na łóżku, a przy nim siedziała stara kobieta, matka Bernier. Gdy tylko spojrzała na nasze twarze, krzyknęła w przeczuciu jakiejś katastrofy. Napróżno atsraliśmy się zatrzymać ją, chciała wyjść i wyszła... i usłyszeliśmy zaraz jej żałosny jęk.

Wróciliśmy na miejsce zbrodni. Rouletabille nachylił się nad zwłokami i obejrzał ranę:

— Cios zadany nożem, lecz gdzie on jest?

Szukaliśmy noża wszędzie. Larsan uniósł go z sobą! Nagle z pod sklepienia wyszedł książę Galicz i z dziennikiem w ręku, uśmiechnięty, szedł ku nam. Pani Edyta podbiegła do niego i wyrywając dziennik z ręki, wskazała na zwłoki.

— Przed chwilą zamordowano go. Niech pan idzie na policję.

Książę spojrzał na trupa, potem na nas i nie mówiąc ani słowa oddalił się szybko po policję. Rouletabille oparł się niedbale o studnię, sprawdził, czy pokrywa jest nienaruszona i zapytał pani Edyty:

— I cóż pani powie policji?

— Wszystko!

Słowa te wymówiła z jakąś dziką zaciętością. Robert Darzac zaczął doradzać przeszukanie wszystkich wież, całego zamku, gdyż złoczyńca musiał się gdzieś ukrywać, lecz Rouletabille okazał tu dziwną obojętność. Była ona jednak tylko chwilową, gdyż zaraz rzucił się na ziemię i zaczął węszyć jakieś ślady, by po chwili podnieść się promieniejący i zawołać:

— Możemy się uspokoić, nic się nie zmieniło! — i przy słowach tych szczyptę ziemi rzucił wesoło do góry.

Poczem zwrócił się do pani Edyty:

— Teraz oczekujmy tylko policji. Spodziewam się, że wkrótce nadejdzie.

W istocie w kilka chwil potem na dziedzińcu

ukazał się ojciec Jakób w towarzystwie trzech żandarmów.

— Żandarmi! żandarmi! wołał odźwierny, który nic jeszcze nie wiedział o zbrodni.

— Cicho! krzyknął Rouletabille, a sam szepnął mu do ucha:

— Nic się nie zmieniło, ojcze Jakóbie.

— Nic, tylko nowy trup, westchnął; to Larsan!

— To fatalność, odrzekł Rouletabille.

Żandarmi nie wiedzieli sami, co mają czynić i czekali na przybycie *delegato,* czyli specjalnego komisarza.

Wkrótce przybył *delegato.* Jednemu żandarmowi kazał stanąć przy bramie i nikogo nie wypuszczać, sam zaś ukląkł przy zwłokach i zaczął oglądać ranę. „Wspaniały cios!“ rzekł z zadowoleniem, jakby chciał powinszować sprawcy takiej zręczności. Przyjrzał się nam, może szukał między nami zbrodniarza, by wyrazić mu swój podziw, potem zapytał:

— Jak to się stało? To nie do uwierzenia! to nie do uwierzenia!... Od pięciu lat, jak jestem *delegato,* jeszcze nikogo nie zamordowano. W czasie tym nadszedł i doktór z Mentony wezwany poprzednio do starego Boba. Dojrzał go *delegato:*

— W samą porę przybywa doktór! Proszę o zbadanie tej rany, ale bez przesuwania zwłok.

Doktór zbadał ranę i zaczął opisywać ją nam, używając masy technicznych wyrazów; przez ten czas Rouletabille nie przestaje patrzeć na panią Edytę, która wzięła mnię pod rękę, szukając we mnie opieki. Oczy jej unikają wzroku Rouletabille'a, który ją hypnotyzuje, n a k a z u j e m i l c z e ć, a czuję, jak bardzo ona chce mówić.

Na prośbę *delegato* weszliśmy do Wieży Czworobocznej, gdzie w salonie starego Boba zaczęło się śledztwo. Pierwsza jest zapytywana matka Bernier, lecz z niej nic nie można było dobyć, przytem nic nie wiedziała. Czy pani Edyta będzie mówiła?... Uparcie wygląda przez otwarte okno, jakby nic jej nie interesowało, co się dzieje przy *delegato.* Stoję koło niej. Wykrzykniki *delegato* dochodzą naszych uszu. W miarę jak dajemy wyjaśnienia, zdziwienie komisarza rośnie, zbrodnię nazywa niesłychaną, nie może jej zrozumieć. Nadeszła chwila badania pani Edyty. Otworzyła już usta, by przemówić, gdy rozległ się głos Rouletabille'a:

— Proszę spojrzeć na brzeg cienia przy eukaliptusie.

— Cóż tam jest? — zapytał *delegato.*

— Narzędzie zbrodni! — odrzekł Rouletabille.

Wyskoczył przez okno i podniósł z pomiędzy zakrwawionych kamieni ostry krzemień.

Poznaliśmy go: „jest to najstarsza skrobaczka“.

Narzędzie zbrodni należało do księcia Galicza, wszyscy jednak wiedzieli, że zostało ono skradzione przez starego Boba. Słyszeliśmy także, że Bernier ostatniemi słowy oskarżył o swoją śmiercią Fryderyka Larsana. Nigdy jeszcze łączność postaci starego Boba z postacią Larsana nie przedstawiła nam się tak jasno, jak w tej chwili. Pani Edyta zrozumiała natychmiast, że los starego Boba leży w rękach Rouletabille'a. Na chwilę nawet nie przestawała wierzyć, że obecny stary Bob jest prawdziwym jej wujem i że nie ma nic wspólnego z temi tragicznemi scenami, obawiała się jednak oskarżenia go, obawiała się tych wszystkich pozorów, jakie świadczyć mogły przeciw niemu. Zamilkła więc i na n ą teraz przyszła kolej lękać się, by Rouletabille nie przemówił. Z pierwszych jednak słów jego przekonała się, że on chce tylko ocalić starego Boba od podejrzeń policyi.

Rouletabille znajdował się między *delegato* i sędzią śledczym, który tymczasem nadjechał, i dowodził, trzymając w ręku najstarszą skrobaczkę, że istotnym sprawcą śmierci był sam zabity. Cztery osoby, znajdujące się pod sklepieniem i dwie w pokoju starego Boba strzegły się wzajemnie i nie spuszczały z siebie wzroku, podczas gdy o kilka kroków od nich zabijano Berniera, a ponieważ dokoła nikogo więcej nie było, wypływa więc z tego, że Bernier zabił się sam. Sędzia, bardzo zainteresowany tem dowodzeniem, zapytał nas, czy przypadkiem kto z nas nie zna powodów samobójstwa Berniera, Rouletabille jednak odrzekł na to, iż by umrzeć, można obejść się bez zbrodni i bez samobójstwa, gdyż zupełnie wystarcza wypadek. Najjaśniej o tem świadczy narzędzie zbrodni. Żaden złoczyńca nie używałby do zamachu tego starego kamienia, a tem bardziej Bernier, jeżeli chciał się zabijać, gdyż miał wiele innych i łatwiejszych sposobów do samobójstwa. Wszystko zaś można wytłomaczyć przez przypadek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka historyczna.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Podać nazwiska osób, które odegrały ważną rolę w następujących zdarzeniach historycznych:

Bunt kozacki.

Bitwa pod Mantineą.

Najazd Szwedów w r. 1655.

Zdobycie Aten przez Spartan.

Papiestwo u szczytu potęgi.

Bitwa pod Marengo.

Zjednoczenie Włoch.

Zburzenie Jerozolimy.

Bitwa pod Mukdenem.

Podbój Italii za Justyniana.

Początkowe litery nazwisk, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko jednego z najznakomitszych wodzów angielskich.

Arytmograf.

Ułożył K. Sokołowski, Śniatyn.

W miejsce cyfr wstawić litery, któreby utworzyły nazwiska wysp na morzu Śródziemnem. W kierunku pionowym i poziomym otrzymamy te same znaczenia.

```
    1   7
    2   6
1 2 3 2 4 5 6
    2   8
7 6 4 8 6 9 2
    5   9
    6   2
```

Znaczenie wyrazów: 1. Pojedyncza wyspa. 2. Grupa wysp.

Łamigłówka.

Ułożył K. Sokołowski, Śniatyn.

W podanych grupach litery tak poprzestawiać, aby utworzyły wyrazy, z których powstanie znane polskie przysłowie.

deiky, klno, ceeinśwz, aadpo, ąorst, ęimz, aaadiopwz.

Logogryf geograficzny.

Ułożył A. B. Rzeszów.

Kwadraty i kreski zastąpić tak literami, aby środkowe, w miejscach, oznaczonych kwadratami, czytane z góry na dół, dały jedną ze stolic europejskich.

```
        □
      — □ —
    — — □ — —
    — — □ — —
— — — — □ — — — —
    — — □ — —
  — — — □ — — —
— — — — □ — — — —
    — — □ — —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Galicyi Wschodniej. 3. Rzeka w południowej Francyi. 3. Miasto w Austryi 5. Kraj w południowo-zachodniej Europie. 6. Nadmorskie miasto we Francyi. 7. Miasto w Galicyi środkowej. 8. Półwysep azyatycki. 9. Część Karpat.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Podgórze.

Pierwsze z drugiem okrągłe i wartko się toczy,
Drugie z trzeciem zdobywa ciężki trud roboczy,
Czwarte z trzeciem to zwierząt bezpieczne siedlisko,
Całość, miasta we Wschodniej Galicyi nazwisko.

Logogryf.

Ułożył I. K. Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Litery umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko najznakomitszego z polskich poetów.

```
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
```

Znaczenie wyrazów: 1 Czas postu. 2. Imię męskie. 3. Materyał ogniotrwały. 4. Dopływ Renu z Wogezów. 5. Hetmann Ukrainy. 6. Znany barwik roślinny. 7. Znakomity muzyk polski. 8. Człowiek małego wzrostu. 9. Bohaterka jednego z średniowiecznych poematów niemieckich. 10. Imię męskie. 11. Znakomity muzyk niemiecki. 12. Miasto w Syberyi. 13. Miejscowość pamiętna klęską Turków. 14. Pseudonim Rodziewiczównej.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Z podanych liter utworzyć znane przysłowie:

Blok, as, Capua, Tantal, sobory.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *Conana Doylégo:* **„Obcięte uszy i inne nowe opowiadania z przygód Sherloka Holmesa"** oraz **„Melodye duszy"** poezye *Stefana Gralewskiego.*